AS



Nr. 29
17 LIPCA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

Motyl paryski
Fot. Photo Georges Hand.

Week-End
NA LITWIE

Ostatnie formalności paszportowe i jesteśmy na terytorjum litewskiem. Odrazu zmiana. Jedziemy ciągle lasem. Jest nas dwóch, podpisany i Karol Słoński. Jakoś dziwnie nam smutno i straszno. I nagle jakby na zew naszych myśli, jakby na tajemnicze zawołanie, Litwini „obskoczą dokoła" — „brody ich długie, kręcone wąsiska..."! Zjeżyły mi się włosy. Karol zaś udając śmiałka, pyta ich, czy daleko do Wołkowyszek? — Ni supramtu — odpowiadają. „Więc jak to, mieszkacie przy granicy, a nie rozumiecie po polsku?" — Ni supramtu. — Jak widać, propaganda antypolska zostawiła głębokie ślady. Na drodze dobrych stosunków stoi „ćwiartka papieru". Pocieszamy się tylko, że to byli drwale. Spotkanie to jednak odebrało nam chęć do dalszej jazdy. Trudno — powrotu niema. Wyjechaliśmy z lasu i przed oczyma naszemi, ukazała się olbrzymia płaszczyzna, ciągnąca się od Wołkowyszek po Wornie. Zdawałoby się, że to pustynia, lecz bliższa uwaga pomoże nam odkryć na niej wiele „oaz", zanurzonych w przestrzeni, jak w rozrzedzonem powietrzu, sterczące niby jakaś chropowatość w miękkich smugach sinej dali. Wiosenne barwy soczystej zieleni palą się na tej palecie światłem jakby fosforycznem.

Ocena odległości, czy poczucie przestrzeni zatraca się tutaj, bo odległości mnożą się nieuchwytnie, niepostrzeżenie, a tak całkowicie, że nawet pojęcie bezmiaru nagle znajduje tutaj swoje dostępne oczom wyobrażenie. Dla nas „lądowców" przestrzeń ta jest obcą, zimną. Marynarz ,szczególnie marynarz-emeryt, mógłby na tej płaszczyźnie zaspokoić swoją tęsknotę przestrzeni, ma bowiem przed sobą „morze", po którem można chodzić. Wjeżdżamy teraz w krainę prawdziwie litewską. W krainę pięknych przydrożnych krzyży i kapliczek-krzyży, z których Litwa i Żmudź słyną na cały świat. Niemal przed każdą chałupą stoi zadumana Matka Boska, albo smutny Syn Boży. Zwyczaj stawiania krzyży pochodzi prawdopodobnie z czasów pogańskich — z czasów, kiedy Perkunasowi stawiano w borach, przy drogach, małe drewniane posążki. Po przyjęciu chrześcijaństwa Perkunasa zastąpiła N. P. Marja i Syn Boży. Najbardziej zwyczaj ten rozkrzewił się na Żmudzi. Tam niemal co kilkanaście kroków spotykamy pochylone krzyże, czy szare kapliczki. Odznaczają się one rozmaitością form i ornamentacji. Rzadko spotyka się szablon. Prawie każdy ma swój odrębny charakter, swoje cechy, nieraz może dziwaczne, dla nas niezrozumiałe, jednak zawsze oryginalne i swoiście piękne. Spotykamy na nich nietylko emblematy Męki Pańskiej, lecz niejednokrotnie wiele figurek zwierząt i kwiatów rzeźbionych. Rzeźby te odznaczają się bogactwem wyobraźni i uczucia. Rzadko gdzie taki wioskowy samouk może zdobyć się na tak oryginalnie wystylizowaną rzeźbę, której nie powstydziłby się zapewne żaden ze znamienitszych mistrzów tej dziedziny. A jakie cudowne są kapliczki, zwane tu „smutkialis", zapewne od polskiego smutny, bo rzeczywiście, litewski Chrystus jest smutny i zadumany.. „Smutkialis" są drewniane, do dwóch metrów wysokie i zbudowane w formie ołtarza. Ołtarz jest zwrócony w stronę gościńca, ubrany w kwiaty i zieleń. Panuje tam bowiem zwyczaj, że po nabożeństwie Litwini spieszą pod krzyż, lub kapliczkę, którą ubierają, zaczynając od samego Chrystusa, któremu nakładają lnianą sukienkę. Czynią to w każdą niedzielę. Rzeźby te kształtowały się zawsze pod wpływem mentalności ludu. Dzięki więc temu są niezmiernie popularne w szerokich masach, znajdując tem samem w nich licznych odbiorców i stanowią zarazem ciekawy przyczynek dla zrozumienia psychiki zamkniętego w sobie, lecz na swój sposób uczuciowego Litwina.

Ale oto i Taurogi. — Z biciem serca wjeżdżamy do miasta. Zatrzymujemy się na rynku. I, o dziwo, witają nas przyjaźnie! Może nie wiedzą, że jesteśmy Polakami? Ależ wiedzą, nawet próbują mówić do nas po polsku. Z triumfem pokazuję Karolowi uśmiechnięte buzie. „Wielki kochanek" (tak nazwałem potem Karola) znalazł się momentalnie w objęciach pięknych Litwinek. Rzeczywiście pięknych. Kobieta litewska w przeciwieństwie do mężczyzny, ubiera się bardziej kolorowo i z większym smakiem. Znane są Litwinki ze swej oryginalnej urody. Są wiotkie i — jak Karol powiada — najbardziej „nowoczesne" z powodu „ładnych linij opływowych". Rysy twarzy regularne, a z szafirowych oczu wieje jakaś utajona tęsknota. Ubiór „graży mirgiżały" — pięknej dziewoi — składa się z „rańtasy" — bluzeczki, spódnicy i łapci (starsze), albo pantofli czerwonych lub czarnych. Ubiór mirgiżały posiada pewne cechy piękna. Pastelowość kolorów, czar sennej i smętnej natury litewskiej, doskonale harmonizuje z jej oczyma, pełnymi niewysłowionego smutku. Desenie spódniczki i lnianej bluzki i kolor oczu splatają się z sobą harmonijnie. Ubierają się tylko w samodziały. Nic dziwnego, bo przecież Litwa jest jednym z największych producentów światowych lnu. Umiejętność tkania dziedzictwem przechodzi z matki na córkę. Od tkaczek roi się w każdej wsi. Prawie w każdej chałupie wiejskiej rozpiera się na honorowem miejscu izby, wielki tradycyjny warsztat, który w wielu wypadkach służy całym szeregom pokoleń. Litwin natomiast ubiera się niegustownie: płócienna siermięga, wełniane szerokie spodnie i nieodłączny kożuch. Na nogach nosi łapcie, robione przeważnie z kory lipowej. Łapcie ich podobnie, jak nasze poleszuckie, mają bogatą wielowiekową tradycję. Przecież ich pierwsi kunigasi (królowie) chodzili w łapciach. Niektóre są przepiękne, bardzo misternej roboty. Wszak do dziś istnieje zwyczaj, że ubiegający się o rękę mirgiżały młodzian, musi pokazać dwanaście par łapci, ale każda różna i od drugiej piękniejsze.

Po miłym postoju jedziemy dalej. Nie zauważyliśmy, jak prędko stanęliśmy w Kirożach. Dziwnym zbiegiem okoliczności trafiliśmy na weselisko. Właśnie weselny korowód, z dostojnym swatem na czele, wychodził z wiejskiego kościółka. My, oczywiście, w ślad za nimi. Przed domem matka przywitała zięcia chlebem, solą i kieliszkiem wódki. Młody nadpił jej trochę, a resztę, wraz ze szkłem, rzucił poza siebie. Następnie weszliśmy wszyscy do chałupy. Dopiero teraz zauważono nas, tak, że przy obdzielaniu karawajem gości, poczęstowano nas pierwszych. Karawaj na weselu litewskiem odgrywa główną rolę. Jest to rodzaj tortu, z mąki pszennej, przetykany cukierkami, piernikami i t. p. Według starych podań, wszyscy, którzy podczas wesela go jedzą, będą potem się kochali. Dlatego nie dziwił mnie zupełnie widok „opychających" się Litwinek i Litwinów. Pieczenie karawaju połączone jest z ceremonjami i pieśniami. Do pracy tej używa się nie tylko kobiet, lecz i mężczyzn, których zadaniem jest, trzy razy okręcić dzieżą z rozczynionem ciastem i postawić naprzeciwko pieca. Gdy panna młoda zaczyna zarabiać ciasto, prosi wszystkich obecnych o błogosławieństwo. Goście wtedy odpowiadają pieśniami. To samo jest, gdy wsadzają karawaj do pieca. I płyną wtedy dziwne smutne tony, tony, jakby kołysanki, jakby dumki ruskiej.

Taj dekuj Dievuj had nasz nutekaju,
Taj didi dywaj, didi stebukłaj...

albo

Sese la darżeły
Brułaj listaj nely
Rute leszeju
Żirga bałnoju...

Następna pieśń, przy ceremonji wyjmowania z pieca, jest już żywsza — raźniejsza.

Uj! Uj dieva Dievulau manu,
Parłabaj szarpia antyta gavau...

A trzeba wiedzieć, że Litwini pieśń kochają — kochają ją szczerze, całem sercem, jak każdy kamyk swego kraju. Weselisko było dziwnie sztywne. Litwini nie mają tej swobody — tej żywości co Polacy. I gdyby nie Karol, kto wie, czy nie zasnęlibyśmy w połowie ceremonji. Karol szalał! Dosłownie. Demonstrował im oberka, krakowiaka... a w końcu — porwawszy jakąś mirgiżałę i przy „akompanjamencie" własnych nóg, zatańczył z nią zamaszystego mazura. Obrazek był pyszny. Braw dostał co nie miara. Szczególnie od niebieskookich. W ślad za nim ruszyli się Litwini. A Litwin jak się rozochoci, a przy tem podpije, to się bawi do vajkielis (upadłego). Więc naprzód „dukra" (rodzaj kujawiaka) z przyśpiewkami

Ej! dukra dukrele,
Kadu tu tajg bałta,
Suri valgianu motynele
i vienne szalele.

Wesele litewskie w ich jednostajnem życiu jest jakby słoneczkiem po długiem zachmurzeniu. Lecz mniej żywem, mniej barwnem — niż nasze. Zawsze „tańczy", „pije" i „śmieje się" z nim jakiś nieuchwytny smutek. Jedno jest oryginalne na weselu, to to, że znajomi młodzieńcy panny młodej zjawiają się nad ranem, aby pożegnać dawną swoją „znajomą": każdy reprezentuje swój fach, a więc — drwal, rolnik, kowal... i — wreszie pastuszek z barankiem. Wspomniany obrazek jest naprawdę miły i ma wiele w sobie wiejskiego uroku. Po zabawie weselnej następuje ceremonja rozczesywania włosów panny młodej. Odbywa się to w obecności wszystkich gości. Gdy swat zaczyna rozplatać weselnicy zaczynają śpiewać:

Ejan, Ejan kiely
Nałanziam szakiely
Lelios szakiely
Veliku rita
Lelia prazita.

Moment ten był zakończeniem wesela, a — początkiem naszej dozgonnej przyjaźni z Litwinami. Jak widać „szaleństwo papierowe" nie zostawiło tu śladu. Nie przypuszczaliśmy, że smutna ta kraina, robiąca wrażenie wiecznej jesieni, posiada w sobie tyle uroku i niezapomnianego czaru. Karol zwierzył mi się na „sekretnej" konferencji, że po Litwie (czytaj Litwinkach) pozostała mu tęsknota do niebieskich, zadumanych oczął.

A. Nohajski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

Numer 29 **Niedziela, 17 lipca 1938** **Rok IV**



Wyprawy campingowe posiadają swoisty urok i stanowią jeden z najzdrowszych i najweselszych sposobów spędzenia wakacyj
Na zdjęciu: Namiot wyprawy campingowej i jej uczestnicy przy samochodzie. *Fot. Dr. P. Wolff.*



ARCYDZIEŁA SZTUKI: MODLITEWNIKI



Wspaniała oprawa modlitewnika z wyciskanemi, złotemi herbami Habsburgów i Burbonów. Modlitewnik wydany w Sienie w 1777 r. pochodzi z Domu Gotyckiego w Puławach, obecnie w Muzeum XX. Czartoryskich.

W zbiorach ksiąg o treści religijnej, modlitewniki rzucają się w oczy swoim przepychem i bogactwem, będąc wyrazem tej czy innej minionej już epoki. — Zrazu skromne i niewyszukane, zczasem stawały się barwne i ozdobne. Ujęte w oprawę skórzaną z licznemi ozdobami wyciskanemi — bądź nabijaną małemi centkami. Obok skóry na oprawę modlitewników używano też i aksamitu, a wtedy ozdoby wyciskane ustępowały miejsca kompozycjom naszywanym. Zamykane były zazwyczaj klamrami misternie z srebra czy złota cyzelowanemi w ornamenty o motywach zaczerpniętych ze świata roślinnego, czy zwierzęcego. Często nawet szlachetnemi kamieniami zdobne, były chlubą kunsztu złotniczego. Uzupełniniem oprawy były ozdoby w tymże samym co klamry utrzymane tonie, a umieszczano je w rogach, bądź w grzbietach modlitewników. Brzegi kart złocone lub malowane. Niekiedy w prostej i niewyszukanej oprawie, jakżeż często kryje się bogactwo szaty wewnętrznej, np. modlitewnik Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana koronnego. Oprawa nosi ślady po zerwanych klamrach, które niegdyś zdobiły ten modlitewnik. Dziś jest on własnością Archiwum Ordynacji Zamoyskich w Warszawie.

Różne w swej formie zewnętrznej, prawie wszystkie modlitewniki były jednakowo redagowane. Karty pergaminowe: na pierwszej umieszczano zazwyczaj herb właściciela, o ile tenże już wcześniej nie został wyciśnięty na oprawie pomiędzy innemi ozdobami. Jeżeli modlitewnik był darem, to na pierwszych jego kartach spotkać można jeszcze obszerną dedykację. Następne karty zawierały kalendarz najważniejszych świąt. Modlitwy wypisane starannie na kartach polinjowanych, przeważnie w języku łacińskim, który też był powszechnie używany przez szlachtę. Ułożone odpowiednio do świąt czy pór dnia, od którego często pochodził tytuł modlitewnika. Margines zaznaczano kolorowemi równoległemi linjami, albo też ozdabiano ornamentami ułożonymi osiowo o motywach roślinnych, lub bardzo pięknie wykonanemi postaciami zwierząt. Liczne karty, oddzielające poszczególne modlitwy iluminowano scenami biblijnemi, bądź też alegorjami. Te właśnie iluminacje stanowią dziś o wartości modlitewników. A i pierwsze litery modlitw zastępowano inicjałami bądź mniejszemi iluminacjami. Przy końcu modlitewnika zostawiano zazwyczaj kilka kart niezapisanych, przeznaczonych do użytku właściciela modlitewnika, który tu czynił zapiski rodzinne, albo notował najważniejsze wydarzenia z życia publicznego. Czasem spotkać można na tychże kartkach całe nawet wykresy genealogiczne. Dziś te właśnie karty są niemniej skrzętnie badane przez świat naukowy, zwłaszcza, że niekiedy zawierają materjał pierwszorzędny dla genealogji, skądinąd trudnej czasem do ustalenia.

Poniżej: „Heures a l'usaige de Rome", wydany w Paryżu w 1500 r., na pergaminie. Inicjały kolorowane ręcznie i złocone, drzeworyt przedstawia ucieczkę do Egiptu. — Muzeum XX. Czartoryskich.



Różną też była wielkość modlitewników. — Obok dużych, spotkać można i ich minjatury. Wspomnieć choćby modlitewnik nieznanego bliżej właściciela z XV-go wieku o rozmiarach 3.5×4 cm, przechowywany w zbiorach Arch. Ordyn. Zamoyskich w Warszawie.

Nie zawsze też modlitewniki służyły do celów modlitwy. Jakżeż często były one ozdobą w rączkach płci pięknej, udającej się do kościoła. Dostosowywane do tualety, były raczej jej uzupełnieniem. Stąd też pochodzi bogactwo szaty zewnętrznej modlitewników, używanych przez płeć piękną. Dziś jeszcze przyglądając się portretom kobiecym minionych wieków, spotkać możemy w ich dłoniach misternie oprawny i w złote klamry zamykany modlitewnik.

Niewątpliwie najstarszym, powierzchownie zbadanym modlitewnikiem, jest książka do modlitwy Mieszka II, którą podarowała mu około 1028 r. Matylda, księżna szwedzka. Pisany w języku łacińskim z wizerunkami Matyldy i Mieszka, znajdował się w zbiorach katolickiego kościoła w Berlinie.

Niezwykle ciekawym i jedynym tego rodzaju pomnikiem jest modlitewnik Władysława IV (Warneńczyka). Jest to właściwie księga zaklęć czyli modłów, aby Bóg pozwolił młodemu królowi zobaczyć w krysztale to, co go najwięcej obchodzi. Powstał zapewne w Krakowie, po koronacji młodego króla, około 1435-36 r. Mieści w sobie ślady kabały, która w owym czasie, razem z astrologją zaczęła się coraz bardziej rozpowszechniać.

Osobliwe koleje przechodził modlitewnik króla Zygmunta I. Po jego śmierci dostał się on w posiadanie królowej Bony, która zabrała go z sobą do Włoch. Stąd wrócił on z powrotem do Polski, na skutek skarg i narzekań Anny Jagiellonki na zatrzymanie rzeczy odziedziczonych po matce. Anna darowała ten modlitewnik Zygmuntowi III. Wraz z innymi klejnotami koronnymi dostał się następnie modlitewnik w prywatne posiadanie Sobieskich. W roku



Strona modlitewnika średniowiecznego, ozdobiona wspaniałemi ręcznemi rysunkami: inicjał C przedstawia koronację Matki Boskiej, na marginesie zaś widzimy humorystycznie ujętą ucztę żaby ze ślimakiem, kretem i myszą. — Ze zbiorów XX. Czartoryskich.

1838 zakupiony został w Frascati od sukcesorów kardynała York. Wraz z księżną Marją Klementyną Sobieską przeszedł do rodziny Stuartów. Książę Grzegorz de Berardi darował modlitewnik księciu Sussex, a po śmierci tegoż zakupiło go British Museum w Londynie. Tutaj to znalazł ten modlitewnik Aleksander hr. Przezdziecki. Dopiero prof. U. J. Kallenbach zajął się naukowem jego badaniem, nadsyłając liczne fotografje do Komisji Historji Sztuki Polskiej Akademji Umiejętności.

Modlitewnik ten jest cackiem iluminatorskiej sztuki. Niewielkich rozmiarów, wykonany na wzór francuskich, flamandzkich i włoskich modlitewników. W tych to krajach kwitnęło malarstwo minjaturowe, dochodząc do kunsztu. A pamiętać należy, że iluminacje modlitewników były silnie związane z tą gałęzią malarstwa. Zjawiły się już w II połowie XIV wieku, a w następnym stały się powszechne w użyciu.

Poniżej: Modlitewnik holenderski z pierwszej połowy XV wieku. Iluminacja całostronna przedstawia pokłon Trzech Króli. Muzeum XX. Czartoryskich.



Modlitewnik ten jest dziełem Stanisława Krakowianina, który darował go Zygmuntowi I z wyrazami hołdu, jako pogromcy Moskwy, zaznaczając w dedykacji, że czyni bezinteresownie i nie chce być znanym królowi. Jego dziełem są iluminacje modlitewnika królowej Bony, znajdującego się gdzieś w Anglji. Trzecim modlitewnikiem, który wyszedł z jego pracowni jest modlitewnik Krzysztofa Szydłowieckiego, który podobnie, jak i król był miłośnikiem sztuki i lubował się w artystycznych dziełach. Kiedy Stanisław Krakowianin wykonał modlitewniki dla króla i królowej, Szydłowiecki polecił mu wykonanie modlitewnika dla siebie. U schyłku swej działalności iluminatorskiej ozdobił minjaturami modlitewnik kanclerza Jana Choińskiego.

Garść szczegółów o działalności iluminatorskiej wspomnianego Stanisława Krakowianina, autora tych modlitewników, znajdujemy u Kopery. Artysta ten jest minjaturzystą dekoratorem. Oddziałały na niego minjatury flamandzkie, których wpływ w wysokim stopniu zaznaczył się także w inicjałach. — Wykształcił się on zapewne w krakowskiej pracowni przy Katedrze. Od Stwosza i z flamandzkiej sztuki wziął zamiłowanie do charakterystyki postaci, uwydatniającej się przedewszystkiem w twarzy.

Wspomnieć wypada, że minjatury były ulubioną dekoracją rękopisów, przeznaczonych nietylko do kościelnego, ale i świeckiego użytku. To też pociągnęło za sobą powstanie kilku pracowni iluminatorskich w Krakowie, przeważnie klasztornych. Minjatury wykonane w tych pracowniach swym poziomem artystycznym dorównywały pracom Stanisława Krakowianina.

Wynalazek druku przyczynił się do rozpowszechnienia modlitewników drukowanych. Ale i te niewiele ustępują modlitewnikom rękopiśmiennym. Pierwsze ich okazy drukowane oczywiście na pergaminie, pojawiły się w Paryżu w II-giej połowie XV w. Wydawcami ich byli Antoine Verard i Simon Vestra. Z nazwiskiem tego ostatniego wydawcy związany był cały szereg późniejszych wydań. Pokup na te „livres d'heures" w łacińskim drukowane języku, był nadzwyczajny. Między rokiem 1487 a 1497 Vestre wypuścił w świat 60 wydań jedno po drugiem. Ale nie miały one jeszcze rycin. Po większej części zostawiano miejsca puste, dla wypełnienia minjaturami. Dopiero wydanie z roku 1498 po raz pierwszy ozdobiono rycinami. Były to zrazu konturowe miedzioryty przeznaczone do kolorowania.

W roku 1518 Vestre umarł, a miejsce jego zajął długoletni jego pracownik Thielman Kerver. Ten już poprzednio drukował na własną rękę podobne modlitewniki. Jednak zarzucił druk gotycki, zastępując go w swych wydaniach czcionkami łacińskiemi. Z tego czasu pochodzi modlitewnik Samuela ks. Sanguszki. Jest to druk francuski z pierwszych lat XVI wieku na pięknym gładkim i cienkim pergaminie, rycinami pełnemi charakteru i wdzięku. Oprawny w skórę ze skówkami, o wszystkich kartach dobrze zachowanych. Na pierwszej karcie umieszczony jest wielki znak wydawcy, dalej spis rzeczy, almanach świąt ruchomych, aż do roku 1520, kalendarz i właściwy modlitewnik. Wszystkie stronnice tego modlitewnika są obramowane w podobny sposób, jak stronica pierwsza. Ramy w motywach swych pełne rozmaitości, podzielone, co się najczęściej zdarza, na małe kwadratowe pola, stanowiące skończone obrazki, w których widzimy 7 dni stworzenia, sybille, sceny z życia Marji, Chrystusa, postacie biblijne,



Powyżej i poniżej: Dwa średniowieczne modlitewniki, zdobne w kolorowe rysunki i liczne inicjały, ze zbioru XX. Czartoryskich.



to znowu wypełnione ornamentami roślinnymi. Oprócz tego modlitewnik posiada cały szereg inicjałów i rycin. Ryciny te są wykonane na miedzi i mają tła punktowane.

Niekiedy miedzioryty zastępowano drzeworytami. Do takich modlitewników, ozdobionych drzeworytami na pergaminie należy modlitewnik z ostatnich lat XV wieku, wydrukowany w Paryżu, obecnie muzeum ks. Czartoryskich.

Pięknie iluminowanym modlitewnikiem, drukowanym na pergaminie, jest modlitewnik Jana Zamoyskiego „Horae secundum usum Turonensen", wydrukowany w Paryżu w 1520 roku, jak głosi napis na karcie tytułowej.

Wiele jednak modlitewników dotąd jeszcze nieznanych kryje się po bibljotekach i archiwach, czekając chyba tylko przypadku, który pozwoli im zająć odpowiednie miejsce w zbiorach przeszłości.

Mgr. Bronisław Celera.



Głowa małego ptaka-żywiciela, w którego gnieździe znalazła się młoda kukułka, prawie całkowicie znika w jej dziobie.

ptaki bez gniazda

Kukułka jest jednym z niewielu ptaków, które znalazły swój wyraz w legendzie czy zabobonnych opowiadaniach lub stały się tematem pieśni i poezji. Niektórzy uważają kukułkę za zmienionego krogulca, inni posądzają tego, niewinnego zresztą, ptaka o to, że jest złym duchem, który przyjął na siebie postać ptaka. Naogół uważają kukułkę za ptaka złego, który nie wie, co to miłość macierzyńska i troska o potomstwo. Kukułka bowiem jest jedynym ptakiem żyjącym u nas, który nie buduje gniazda i nie wychowuje potomstwa, lecz podrzuca swe jajka innym ptakom, oddając w ten sposób niejako „w obce ręce" swe dzieci.

Przybranymi rodzicami kukułcząt mogą być różne ptaki śpiewające, najczęściej rudziki, muchołówki, pliszki, pokrzewki, dzierżby, drozdy, a nawet najmniejszy z pośród naszych ptaków strzyżyk wole oczko. Jajka kukułki w porównaniu z jej wielkością są bardzo nie duże i waga ich stanowi zaledwie 1/33 część wagi ciała dorosłego ptaka, a więc wynosi tylko 3 gramy, mniej zatem, aniżeli jajko wróbla, który sam jest od kukułki znacznie mniejszy.

Barwa jaj kukułczych może być różnorodna: biała, żółtawa, niebiesko-zielonawa i, co najciekawsze, zależnie od barwy i rysunku jajka te są składane przez kukułkę w gniazda odpowiednich ptaków, składających podobnie zabarwione jajka. Naturalnie, że kukułka nie znosi jakby na zamówienie jajek odpowiednio zabarwionych i dostosowanych do jajek składanych przez przyszłego opiekuna kukułcząt, lecz najprawdopodobniej, o ile uda się jej złożyć jajko odpowiedniej barwy w gnieździe ptaka, którego jajka są do kukułczych zbliżone, jajka te mają większe szanse rozwoju, nie zostaną przez przybranych rodziców, jako nie różniące się od ich własnych, ani wyrzucone ani też opuszczone.

Widok ptaków budujących gniazda powoduje kukułkę do zamienienia jajka, które umieszcza u tych gospodarzy, którzy wydają się jej najodpowiedniejsi. Wyczekuje stosownej chwili i jak złodziej zakrada się do cudzego gniazda. O ile gniazda są dla niej dostępne, składa w nie szybko jajko, gdy zaś nie może dostać się do gniazda, wtenczas składa jajko na ziemi i ujmując je następgniazda. Często przy podrzucaniu jaj, samczyk pomaga swej małżonce. Dzięki podobieństwu do drapieżnego krogulca, zwraca on na siebie uwagę prawowitych właścicieli gniazda, którzy w obawie o swą drogocenną własność starają się go odpędzić. Samiczka tymczasem wykorzystuje chwile nieuwagi i znosi spokojnie jajko.

W ten sposób pozbywa się kukułka kłopotu, związanego z wysiadywaniem jaj i zrzuca z siebie ciężar obowiązków macierzyńskich.

Zanim kukułczę zdobędzie sobie niepodzielnie miłość i nieustającą opiekę swych przybranych rodziców, staje się sprawcą krwawego dramatu w ich gnieździe. Ponieważ kukułczę wylęga się szybciej, aniżeli pisklęta, będące prawowitemi dziećmi jego opiekunów, przeto, gdy tamte wydostają się z jajek, podrzutek jest już duży i silny, ma również doskonale rozwinięte mięśnie, mimo, że jest jeszcze nagi i niewidomy. Rozpycha się też egoistycznie w gnieździe. Inne jajka zawadzają mu i przy dotykaniu sprawiają ból, gdyż kukułczę przez kilka dni po wylęgnięciu jest bardzo wrażliwe. To też usiłuje się ono pozbyć przyczyny swej dolegliwości. Podsuwa się wytrwale pod jajko i stara się pod nie wsunąć, tak, aby jajko wydostało się na jego grzbiet. Zaiste, dziwna to gimnastyka i żonglerka! Gdy już zdoła przytrzymać jajko swemi nagiemi i małemi, lecz dość silnemi skrzydłami, posuwa się tyłem ku krawędzi gniazda, opierając się silnie głową o jego dno, aby sprostać trudnemu zadaniu utrzymania znacznego ciężaru na grzbiecie. Gdy już znajdzie się na krawędzi gniazda, przechyla się w tył i jajko wypada, rozbijając się. W ten sposób, powtarzając tę żmudną czynność nieraz i kilka razy, pozbywa się kukułczę zawadzających mu jajek.

Kukułka pozostaje wreszcie sama w gnieździe wraz z przybranymi rodzicami, którzy darzą ją uczuciem, jakby własne swe dziecko. Nawet nie czują żalu do ptaka, który pozabijał i powyrzucał z gniazda prawowite ich potomstwo, nie zdając sobie sprawy z krwawego czynu podrzutka. Wychowują troskliwie młode kukułczę, które rośnie szybko i potrzebuje bardzo wiele pokarmu. Znoszą mu je przybrani rodzice bezustannie, bo żarłok z kukułki nielada. Ustawicznie roztwiera dziób i naprasza się o nowy kąsek. Jest stale głodne. Ojciec i matka, jak mogą, zaspakajają głód swego przybranego dziecka. Zdarza się niekiedy, że matka, nie znajdując innego oparcia i sposobu podania pokarmu nienasyconemu żarłokowi, siada na jego głowie i wrzuca pokarm w otwarty szeroko, jego wielki dziób. Odnosi się wtenczas wrażenie, jakgdyby kukułka usiłowała połknąć swą niestrudzoną karmicielkę, znacznie od niego mniejszą.

Kukułczę zachowuje się bardzo spokojnie, a całem swem ciałem wypełnia gniazdko. Jakgdyby rozumiało, że niespokojne jego ruchy mogłyby nadwyrężyć niewielkie gniazdko i spowodować katastrofę, w której łatwo mogłoby utracić życie. Gdy już kukułczę jest tak duże, że nie może się pomieścić w gniazdku, opuszcza je i siada na sąsiedniej gałęzi, dokąd przylatują rodzice i karmią je w dalszym ciągu. Dopiero, gdy stanie się na tyle silne i samodzielne, że może rozpocząć latanie, bez pożegnania i żalu, opuszcza swych przybranych rodziców i gniazdo, w którem się wychowało, kosztem życia innych piskląt, i znika gdzieś w gęstwinie koron leśnych.

Różnie starano się wytłumaczyć ten dziwny zwyczaj kukułki podkładania swych jajek do cudzych gniazd. Tłumaczono to zjawisko tem, że kukułka nie składa swych jaj odrazu, lecz w pewnym odstępie czasu, co utrudnia wychowanie piskląt, a nawet je uniemożliwia. Młodsze bowiem pisklęta byłyby stale pokrzywdzone przez starsze. Pogląd ten jednak o tyle nie wytrzymuje krytyki, że niektóre ptaki z tej samej rodziny kukułek, żyjące w Ameryce, mimo, że podobnie jak nasza kukułka niosą się powoli, jednak zakładają swe własne gniazda.

Starano się ów dziwny zwyczaj kukułki tłumaczyć także i w ten sposób, że kukułka była ongiś nieodstępną towarzyszką stad dzikich zwierząt, które żyły na stepach i w lasach Europy i że żywiła się ona pasożytami, żyjącemi obficie na ich skórze. W ustawicznej wędrówce za owemi zwierzętami, nie mogła pozwolić sobie niejako na stałe zamieszkanie i na założenie własnego gniazda. Musiała prowadzić tułacze życie, lecąc w ślad za „dostawcami" pożywienia. Czasy się jednak zmieniły, zniknęły owe wielkie ilości zwierząt, które dostarczały ptakom pokarmu, kukułka zmieniła rodzaj swego pożywienia, ale nie rozwinęła się u niej tendencja do budowy gniazda.

Dzisiaj jeszcze żyją takie ptaki jak amerykańskie kleszczojady, które żywią się wyłącznie pchłami i kleszczami, będącemi pasożytami skóry koni i bydła. Niektóre z nich zakładają jednak nawet wspólne gniazda, dla większej ilości samic, które razem wysiadują jajka i wychowują młode wspólnemi siłami. W ten sam sposób jak nasza kukułka postępuje amerykański ptak Melothrus, który żywi się owadami, pasożytującemi na skórze zwierząt ssących.

W każdym razie to niewyjaśnione pasożytnictwo lęgowe kukułki, to podkładanie przez nią swych jaj do cudzych gniazd, jest cechą wtórną, która powstała na drodze ewolucji, dzisiaj jeszcze nieskończonej.

Dr Z. M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Blok znaczków, emitowany w Pradze podczas ostatniej wystawy filatelistycznej.

W bieżącym numerze reprodukujemy rekordową ilość znaczków, gdyż nie było dotąd wypadku, aby w ciągu jednego tygodnia ukazało się tyle nowości naraz. Musimy zaś dodać, że zatrzymaliśmy jeszcze w tece całą serję rumuńską, blok estoński czy też francuskie znaczki regularne i okolicznościowe.

Przy tej ilości musimy też ograniczyć się do podania wymiarów i wielkości egzemplarzy, a zaznaczymy tylko, że wyłącznie Francja i Szwecja nie są wydane li tylko dla celów filatelistycznych, serja Luksemburgu, chociaż niezmiernie oryginalna, jest jednak mimo wspaniałego wykonania przesadna: formaty 27×33 mm dla 35+10 c zielony, 70+10 c szary, 1.25+25 c karminowy, 35×56 mm dla 1.75+50 c niebieskoszary, i 43×46 mm (!) dla 3+2 f bronzowolila i 5+5 i fioletowy. Będzie to zapewne w przyszłości bardzo cenna serja, bo mało kto zdecyduje się płacić takie stawki na cele dobroczynne. Wydano te olbrzymie znaczki, celem uczczenia pamięci apostoła wschodniej Frankonji św. Willibrorda, który zmarł w r. 739.

Malarz Grigorescu doczekał się reprodukcij swych dzieł na znaczkach o formacie 42×26 wzgl. 26×42 mm. Stawiamy pytanie pod adresem M. P .i T., czy Matejko nie zasłużył sobie na to stokroć razy więcej?!

80 lat dożył król-tenisista Gustaw Szwedzki: dla przeciwników sportu będzie on zawsze dowodem„ że sport conajmniej nie skraca wieku. Państwo uczciło zupełnie słusznie tą rocznicę, ale znaczek nie ma bynajmniej wyglądu jubileuszowego.

Czeska serja 50 h, 1 i 2 K, format 28×35 mm., belgijska obejmuje 5 wartości — (39×27 mm) niższych i jedną 5+5 f o formacie pionowym, wreszcie Finlandja przypomniała sobie także, że obywatele jej wraz z Szwedami przed 3-ma wiekami kolonizowali stan Delaware. Piękny brązowy znaczek ma format 25×35 mm.

Oczywiście blok uzupełnić musi plon tygodnia i jak zwykle jest on pamiątką po wystawie znaczków. Musimy stwierdzić objektywnie, że „Praga 1938" przewyższyła jednak zdecydowanie naszą wystawę. Format bloku 149×105 mm. **W. H.**



Najnowsze znaczki pocztowe. U góry: Szwedzki znaczek jubileuszowy, w drugim rzędzie serja znaczków rumuńskich ku czci Mikołaja Grigorescu, w trzecim rzędzie i w środku u dołu znaczki Wielkiego Księstwa Luksemburgu, wydane w 1200-ną rocznicę śmierci św. Willibrorda, u dołu na lewo znaczek belgijski, obok znaczek okolicznościowy francuski, drugi od prawej znaczek czeski ze serji, wydanej w czasie zlotu Sokołów, oraz znaczek finlandzki.

PANOWIE! ZACZYNAMY!

TEKST I RYSUNKI: ZYGMUNT HAUPT

MOTTO: *„Przedsionki teatru to targowiska, gdzie obdarzeni talentem zawiązują intrygi...* (*J. Casanova de Seingalt „Pamiętniki"*)

W Paryżu Ludwika XIV, w Paryżu siedmnastowiecznym mamy wieczorem do dyspozycji już trzy teatry stałe (tak!). Czy warto je zobaczyć? Nom d'un chien! Przecież to cuda! Podobno nawet role kobiece, zamiast mężczyzn z wypchanymi biustami, grają kobiety. Niebywałe!

Niedługo zastanawiamy się nad wyborem fraka, owijamy szyję świeżym żabotem, zdejmujemy z kołka ostatnie dzieło perukarza, którego to majstersztyku loki rozsypują się nam aż na barki. Kilka ludwików w kieszeni. Nie od rzeczy będzie spróbować czy szpada lekko wychodzi z pochwy, bo z teatru wraca się w nocy, a w ciemnych uliczkach niewiadomo, kogo się spotka. — W najlepszym razie wierzycieli, a przecież nawet dobry Król Filip Piękny niegdyś przed nimi uciekał Rue du Temple..., ale to już inna historja jak powie o tem za lat 200 i kilkadziesiąt niejaki Rudyard Kipling.



Markiz to typowy gość teatru XVII. w., zajmujący fotele — aż na scenie....

Otóż i szczęśliwie minęliśmy kilka katastrof, grożących naszym perukom (na okrzyk „Gardez l'eau"! trzeba prędko i bez namysłu uciekać, bo ktoś wylewa właśnie z góry przez okno na ulicę kubeł pomyj), omal nie rozgniotła nas kareta Księcia de Guise, cwałem pędząca do Wersalu, złożyliśmy opłatę za prawo przejścia przez Pont Royal na Sekwanie, wywinęliśmy się z rąk garncarza z Owernji, który zachęcał nas na tymże moście do kupna jakichś skorup, uniknęliśmy wróżbity, który siedział naprzeciw niego i w dzielnicy St. Denis dobrnęliśmy jeszcze bardzo wcześnie do teatru.



Teatry z XVII w. niewiele się różniły od zwykłych sal.

Jest już parę osób i sakramentalny „moucheur de chandelles" właśnie opuścił główny żyrandol i zapala płaczące łojowemi łzami świeczki. Wszyscy gapią się na tę czynność i z nudów rzucają pod jego adresem docinki. Obdarty człeczyna znosi je ze stoicyzmem.

Pod względem bezpieczeństwa pożarowego jest to straszne oświetlenie i mam wątpliwości, czy nie było w Paryżu wtedy więcej stałych teatrów, nic o tem jednak nie wiemy, gdyż z pożaru nie uszedł zapewne ani świadek.

W łożach niewiele wzniesionych nad parter ukazują się damy. Sala się zapełnia. Zażywne mieszczuchy z Marais, Faubourg St. Honoré, a nawet z Faubourg St. Antoine zasiadają z rodzinami, nierzadko przynosząc ze sobą w koszu wino i wiktuały i posilają się bezceremonjalnie. Muszkieterzy Jego Królewskiej Mości prezentują zabójcze wąsy i pendenty rapierów. Ściśnięte gorsetami mieszczki posyłają im czułe spojrzenia. Bardziej rzeczowe spojrzenia kilku rzezimieszków taksują możliwości terenu. Gwar rośnie.

Zjawienie się markizów na scenie zwiastuje, że przedstawienie niedługo się zacznie. „Les marquis au théâtre" to charakterystyczne dla tych czasów. Ale nie mogą oni siedzieć z pospólstwem na sali. Dla nich są specjalne krzesła aż na scenie, gdzie w perukach, koronkach, falbankach, wstążkach, w wytwornych pozach, patrząc z góry na tłum, sami jakgdyby grają. Gra toczy się tuż przy nich. Nierzadko kapryśny paniczyk laską korygował grę aktorską ku uciesze widowni.

To, co zobaczymy na scenie ma już swój bogaty podkład. Całe Wieki Średnie z ich misterjami, które do połowy XVI wieku zaspakajały ludzki głód ułudy, są gruntem, na którym wybujała nowa sztuka sceniczna. Jeżeli jednak teatr misterjów, jakie oglądano z racji B. Narodzenia, Zapustów, Wielkanocy, w cieniu św. Sulpicjusza lub Notre-Dame były widowiskiem przedewszystkiem dla oczu, to teatr XVII wieku, to suma wrażeń słuchowych. To gra słów, dowcip, odtworzenie charakteru psychicznego zkarykaturowanego aż do psychopatologji postaci takich, jak Pantalon, Sganerel, Skapen, Turlupin, kapitan Fracasse, Poliszynel, Gros Guillhome, Arlekin, Pierrot, Kolombina. Komedja francuska bezimienna, mająca swój początek w ludowych grach, starofrancuskich „Fabliaux", włoskiej komedji dell'arte, operze — buffo, hiszpańskich sztukach intrygi, swą improwizowaną swadą aktorów ma równy wpływ na Moliera, jak Terencjusz i Plaut.



A oto postać doktora, z której ludzie baroku chętnie drwili.

Do jakiego stopnia słowo odgrywało rolę w tych komedjach świadczy fakt, że w początkach XVII w. aktorzy prawie że recytowali tylko swe role, bez posługiwania się gestem czy mimiką.

A cóż mówić dopiero o prymitywie dekoracji i kostjumów! Jeszcze w „Sierocie Chińskim"

dalszy ciąg na str. 31-ej.

NIEBO SIĘ ZACHMURZA...

NOWELA

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

Jak daleko sięgnąć wzrokiem — lazur... Na horyzoncie cienkie pasmo szarego lądu, dzielącego morze od nieba.

Kilka białych żagli na morzu unosi się w dali. Pobłyskują słońcem, lśnią białością.

Na plaży gwarno; w miękkim piasku tkwią jak wielkie grzyby domki z płótna, leżaki, jakieś meble koszykowe. Krzyki dzieci, śmiechy dorosłych i nawoływania. Nad wszystkiem ciąży jak jakaś zasłona upał: powietrze zdawało się nie poruszać, tworząc gęstą, nie przepuszczalną warstwę.

Nic tak nie rozleniwia i nic tak bardzo nie pozwala zażyć spokoju jak upał. Dopiero w tem słońcu, na piasku, w bezruchu, człowiek zdaje sobie sprawę, co to jest prawdziwy wypoczynek.

Olśniewało to i cieszyło Bogdana. Przypatrywał się otoczeniu zdziwiony, jakby ujrzał coś nadzwyczajnego. Nawet piasek przybrzeżny zdawał się nabierać nieznanych mu kolorów, mienił się, stawał się szary, to znów brązowy, zależnie od oświetlenia. Tyle było przecież nowych rzeczy na tej plaży dla Bogdana! Był pierwszy raz w eleganckiej miejscowości nadmorskiej we Włoszech, pierwszy raz zetknął się z tym wielkim światem, którego głównem zajęciem było wymyślanie nowych, nieznanych mu jeszcze rozrywek. Gdy oczy odwracał w bok od skał, które zdaleka szarzały, spotykał się z obrazem pięknej, młodej kobiety, siedzącej obok niego. Była jego żoną.

To poczucie, że jest z nim jego żona, że pobyt w Riccione jest jednym z punktów programu podróży poślubnej, ta pewność, że żona patrzy na niego rozkochanemi oczami i stara się wyczytać w wyrazie twarzy, jakie ma życzenia, a nadewszystko to, że piękna ta kobieta otrzymała pół miljona złotych posagu, wszystko to razem tworzyło jakiś dziwny, jedyny w swoim rodzaju nastrój, z którym dotychczas nigdy się nie spotkał w swem życiu.

Bo też te ostatnie cztery miesiące przeszły naprawdę jak sen.

Z lubością począł wspominać różne epizody, które koniec końców zaprowadziły go na tę plażę. Tak jeszcze niedawno ślęczał w swem ciemnem biurze, załatwiając nudne, beznadziejne sprawy. Tak niedawno jeszcze wstydził się pokazać w lepszym lokalu, by nie spotkać się z krytycznem spojrzeniem obecnych, wymierzonem na jego wyszarzany i źle skrojony garnitur. i tak niedawno temu drżał przed dyrektorem Zawieją, starszym, gderliwym człowiekiem, który często swój zły humor wyładowywał na Bogdanie. Przypomniały mu się rozmowy z panną Klarą, sekretarką, która zaczytując się w tanich, sensacyjnych powieściach, pozowała na „istotę wyższą". Do przeszłości należały te tanie krawatki, wykoszlawione buty, te wszystkie postacie, snujące się jak cienie po biurze. Do przeszłości. która się nie wróci, bo Olga kochała go prawdziwie, a Olga to przecie jego dobrobyt i majątek.

— Piękne jest życie, psiakrew! — pomyślał nieomal głośno. Zatrzymał się w porę: Olga nie lubiła takich dosadnych wyrażeń.

Dziwna kobieta: siedziała oto koło niego na werandzie modnego hotelu, spoglądając na plażę, na kąpiących się i wygrzewających w piasku kuracjuszy, zadowolona, szczęśliwa. Spoglądała na niego w zachwycie: Bogdan sam od niedawna dopiero otrzaskał się z tym stanem rzeczy, tak bardzo go on dziwił z początku. Dziwne są kobiety — ale niema o czem mówić — udało się! Chociaż nie, jego szczęście nie było wygraną na loterji, nie było jakiemś wydarzeniem nadnaturalnem: zawsze był pewien, że dojdzie do celu, że wypłynie z tej miernoty i stanie się kimś. A jak — to już zależało od okoliczności. Jak — tego nie wiedział, ale wierzył w swą gwiazdę... i umiał czekać. O, tak, czekać umiał. Jak pies wpatrzony w smakowitą kość, jak skazaniec wyczekujący na ostatni dzień swej kaźni. Gdy inni, wyszedłszy z biura, myśleli o rozrywkach i oddawali się lekkomyślnie marzeniom, on, zawsze pod bronią, zawsze gotów walczyć o lepsze jutro, układał sobie plan postępowania, który miał go zaprowadzić do upragnionego bogactwa.

— Patrz, Bobuś, chmura nadciąga! — rzekła pani Olga. Czy czasem nie zacznie padać? Tak jest duszno!

Spojrzał po niebie.

— Chmury ołowiane! — skonstatował. Deszczyk nie złeby zrobił — uśmiechnął się przymilnie w jej stronę.

Zwykle żywy i rzeczowy w swych powiedzeniach, tym razem mówił jakimś rozwlekłym, nonszalanckim tonem. Od czasu jak siedział na słońcu, jak przeżywał swój sukces, jak porównywał to, co było wczoraj i co jest dziś, stał się pewny siebie, nieomal kapryśny.

Zresztą Olga nie była wymagająca w rozmowie. Sama mówiła mało, wyrażając swe uczucia, których skala była dosyć ograniczona i polegała na różnych odcieniach miłości i przywiązania, bardziej spojrzeniem swych pięknych oczu, niż słowami.

Lola ma jednak piękne oczy i cała jest cudowna! Mimo, iż była jego żoną, jeszcze teraz, po czterech miesiącach małżeństwa miał uczucie, że jest jego przełożoną, że jest czemś wyższem od niego, lepszem. Stąd, chcąc wyrównać tę różnicę, nadrabiał miną, przybierał czasem ton protekcyjny, taki, jakim się posługują starsi wobec dzieci. Podobne uczucie czci i uwielbienia odczuwał w swem biurze, gdy liczył pieniądze, bezduszne banknoty, na których widniała kolorowa cyfra. Ale powoli wyzwalał się z tego uczucia, był coraz bardziej pewnym siebie.

To poczucie pewnej niższości przyprawiało go o zły humor. Co za głupstwo! Wiedział, że jest jednostką wybitną, zbierał owoce swej taktyki, wiedział jak trudno mu było wyjść z tego koła biedy i kłopotów, w którem się znajdował, więc cenił siebie, a mimo to ta piękna, bogata, wypieszczona przez ojca kobieta, która z obojętnością wydawała setki i tysiące, nie znając ich wartości, mimo wszystko jeszcze dziś budziła w nim pewne poczucie niższości. Przypomina sobie ten wieczór u dyrektora Rodeckiego, kiedy za sprawą swego przyjaciela, bywającego w domu ojca Oli, zjawił się po raz pierwszy na wytwornem przyjęciu... w pożyczonym smokingu. Nie wiedząc dobrze, jaki zachować ton, jak mówić z matadorami, których znał tylko z gazet lub ze słyszenia, przyjął minę obojętną, zimną, robiąc wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, a nawet krytycznie usposobionego wobec otoczenia. I ta właśnie mina obojętności, to sztywne nieco zachowanie wzbudziło miłość w sercu Olgi. Przyzwyczajona do ciągłych hołdów, nudnych i wycelowanych wybitnie w kierunku jej posagu, panna Rodecka, z natury mało spostrzegawcza i mimo wszystko naiwna, otoczyła Bogdana w swej wyobraźni jakąś aureolą wielkości, przypisując mu zalety, których nie posiadał. Rozpamiętując te chwile, przypominały mu się tytuły sensacyjnych powieści, które kiedyś czytał: „Kaprys miljonerki", „Kobieta, która kocha" i inne.

Wyciągnął się zadowolony na swym leżaku. Z nonszalancją wyjął papierosa ze złotej papierośnicy, prezentu Loli. W rogu papierośnicy widniał jego monogram, splątany z inicjałami jego żony. Jak te inicjały tak i oni zawsze pozostaną razem. Z zainteresowaniem przyglądał się pięknej robocie tego jubilerskiego cacka. Takie wyroby można jednak dostać tylko w Paryżu, Wiedniu lub Londynie — myślał. Niewiele mógł wprawdzie powiedzieć o luksusowych wyrobach jubilerskich, gdyż były one dla niego zawsze nieosiągalnym zbytkiem, ale szanował je jako widomy symbol pieniądza. Pieniądz! Raz jeszcze czuł się olśniony majątkiem żony, raz jeszcze zdał sobie sprawę ze zmian, które zaszły w jego życiu. Piękna była ta papierośnica. Droga i wytworna zarazem. Jakże niepodobna do tej małej skórzanej, którą na swe imieniny otrzymał w prezencie od Kasi...

Którą dostał od Kasi... W myśli powtórzył koniec tego całego łańcucha swych myśli. Tamta, skórzana, była fabrykatem krajowym, tania, po kilku miesiącach zaczęła się niszczyć. Nosił ją, bo wtedy nie miał innej, a zresztą chciał Kasi zrobić pryjemność. Kasia! Dobra dziewczyna i biedna jak on. naówczas. Nie, biedniejsza, bo pozbawiona wszelkiej opieki, sierota. Jakaś daleka krewna odwiedzała ją od czasu do czasu. Kasia była sklepową w jakimś magazynie. Jakże się on nazywał? Aha, prawda! „Piccadilly"— skład z perfumami.

Fala pamięci przyniosła mu jej głos, zobaczył jej drobną, roześmianą, dziecinną twarzyczkę, jej całą drobną postać. Oczy były dziecięce, naiwne, młode, a usta ukarminowane „na wampa": prawdziwa dziewczyna naszych czasów. Dancing i zabawa po całodziennej ciężkiej pracy, z kiepskim obiadem, niedojedzoną kolacją, niedospaną nocą. Byle zapomnieć, byle się rozerwać, byle zaznać kilku chwil miłości, byle przekonać się, że są jeszcze dobrzy ludzie. I jak nic nie uważała na zdrowie! Była chora na płuca, a chodziła w zimie lekko ubrana! Ile razy gniewał się na nią! A potem, gdy dostawała ataków duszności, gdy z siną twarzą leżała w swoim pokoiku na marnem posłaniu i łez pełnemi oczami rozglądała się naokoło, jakby szukając pomocy, była taka cicha, taka zrezygnowana, taka nieporadna, jak małe, chore dziecko. Kasia twierdziła, że go bardzo kocha, że żyć bez niego nie może. Pewnie nie była to miłość wielka, lecz uczucie słabszego, który szuka pomocnej ręki, by się na niej wesprzeć.

Był do niej bardzo przywiązany, a nieraz nawet czuł, że mógłby popełnić dla niej szaleństwo i ożenić się z nią. Nieraz też czuł się dumnym z swych dobrych uczynków, ze swej opieki, jakiej jej użyczał. Była mu ona potrzebna jako dowód jego szlachetnego charakteru. Ale nieraz niecierpliwił się nią: póki była zdrowa, harmonja panowała zupełna, gdy jednak przez jakąś nieostrożność zaczęła chorować, Bogdan niecierpliwił się. Widząc jej nieporadność, jej naiwność odczuwał do niej coś w rodzaju nienawiści. Żeby sobie też życie komplikować! — myślał rozzłoszczony. Głupia dziewczyna! Jakiś

nieznany pradawny instynkt wrodzony człowiekowi, opanowywał go: byłby ją zadusił, zdeptał jak wijącego się robaka, byle nie mieć z jej powodu kłopotów i zmartwień, których i w jego życiu nie brakowało. Nieznośne było to milczące, ciche, błagalne wezwanie dziewczyny o pomoc, w tym świecie, który nie chciał jej wesprzeć i szedł nieubłaganie swemi utartemi ścieżkami.

Na plażę wbiegła hurma dzieciaków, rozkrzyczanych i urządzających po piasku jakieś biegi naprzełaj. Nosiły różnokolorowe stroje, a przewodził jakiś mały silnie opalony chłopak w niebieskim kostjumie kąpielowym. Starsze kręciły się na brzegu, zanurzając się w wodzie, młodsze ostrożnie maczały stopy w wodzie, badając powoli grunt. Ale wnet uznały kąpiel za mniej atrakcyjną zabawę, jak gonitwę i znów rozpoczęły swoje harce, opryskując się raz po raz wodą.

Bogdan patrzał na ten barwny i ruchliwy obraz z upodobaniem ,ale bez wzruszenia, jakiego doznają nieraz prawdziwie dzieci kochający ludzie.

— Patrz, jakie kochane dzieciaki! — rzekła Lola.

Uśmiechnął się do niej. Będzie dobrą matką — pomyślał.

Dzieci! Pierwszy bodaj raz w życiu zastanawiać się począł nad dzieckiem. Sam tak prędko przestał niem być, że psychologja dziecka, jego zabawy, jego przeżycia były mu zupełnie obce. Ona też była dzieckiem, ta mała Kasia! I pewnego razu umówił się z nią w kawiarni. Nie przyszedł: poszedł wtedy po raz pierwszy na raut do domu Olgi. Kasia napróżno na niego czekała. Telefonowała do niego dnia następnego: zbył ją dosyć niegrzecznie, wymyślił jakieś kłamstwo na poczekaniu. A potem widywali się już coraz rzadziej. On coraz bardziej myślał o Oldze, ona zaczęła coraz silniej chorować i tracić siły, tak, że nawet utrzymanie go przy sobie, zabieganie o jego miłość, czy sympatję było dla niej zadaniem przewyższającem jej siły. A zresztą wszystko stawało się dla niej obojętnem: wiedziała, że tak, a nie inaczej znajomość ta musi się skończyć. Jeszcze raz go odwiedziła: była jakaś dziwna, patetyczna nieomal, mówiła jakimś wyszukanym, nieco sztucznym językiem. Gdy siedział przy niej na kanapie, a ona spoczywała, paląc papierosa, zauważył jej dziwnie blady, ziemisty wygląd. Ale była to obserwacja przelotna: w głowie kołowały mu myśli o jego sukcesach w domu Olgi, o jego przyszłem małżeństwie, o zmianie całej jego egzystencji. I w tej chwili, którą uważał za ostatnią spędzoną razem z Kasią, za pożegnanie raz na zawsze, wydała mu się jakąś niższą, jakąś mało znaczącą, a cała z nią znajomość jakimś epizodem bez znaczenia, który się tak prędko zapomina, jak zeszłoroczny śnieg. Czuł się wobec niej niezmiernie wyższy, ważniejszy, mądrzejszy, a ona robiła teraz wrażenie głupiej, nudnej dziewczyny.

I epizod ten znikł też z jego życia, rozpłynął się w niepamięci. Zaledwie w kilka tygodni po jego ślubie, czytając rubrykę w pismach „Zmarli w Warszawie", znalazł wśród nich też jej nazwisko. Nic dziwnego, była lekkomyślna, nie szanowała się, chodziła na dancingi, chciała się bawić, więc musiała ponieść konsekwencje. Życie jest logiczne i nie można go naginać do swych upodobań, Trudno!

Twarz Bogdana przybrała jakiś przykry grymas.

„Poco grzebać w starych, dawno zapomnianych chwilach!" — pomyślał.

— Co ci jest, Bobusiu? — głos Olgi brzmiał nerwowo, oczy jej zdradzały niepokój.

— Ach, nic, przypomniała mi się taka głupia historja!

— Coś przykrego? Co takiego? Powiedz! — zaczynała być ciekawa.

— Ach, głupstwo! Przeszło i już. Nie ma znaczenia.

— Ale powiedz, co to było? Ja muszę to wiedzieć! Przecież mąż i żona nie powinni mieć dla siebie tajemnic, prawda Bobusiu? No, powiedz!

Bogdana zaczęła opanowywać złość: też się przyczepiła do tego!

— Szkoda o tem mówić, Olu, zapewniam cię!

Przykra chwila, którą przeżył z Olgą, natrętne jej pytania, nauczyła go, że małżeństwo jednak też ma swe słabe strony i że trzeba być nieraz dobrym dyplomatą, by z nich wyjść cało i bez narażenia na szwank własnego prestiżu i równowagi sił. Tylkoby tego brakowało, aby Olga dowiedziała się o jego miłostkach? A może się ona i tak dowie? Ale jakim sposobem! Nie mają żadnych znajomych, którzyby mogli coś powiedzieć. Mimo to przeświadczenie, jakiś niepokój, a raczej niepewność zaczęła go ogarniać. Trzeba się będzie mieć na ostrożności: kobiety zakochane zdolne są do zerwania dla byle jakiej błahostki. Jeszczeby mu ta głupia historja z Kasią zaszkodziła w jego karjerze.

„Ach, ta dziewczyna zawsze musiała wszystko robić naopak! Zdaje się jakby i jemu chciała teraz szkodzić, chociaż już nie żyje!" Uczucie, że są rzeczy, które raz na zawsze musi zamknąć w swej pamięci i strzec ich przed żoną, wydało mu się wręcz nieznośnem. Przypomniały mu się czcionki, jakiemi wydrukowana była rubryczka o zgonach. Były drobne, nierówne. „Katarzyna Janiakówna, lat 25, sklepowa". I nic więcej. Klepsydr oczywiście nie było. Ktόżby się tem zajął! Na jakim mogli ją pochować cmentarzu? Kto zapłacił za pogrzeb?

— Wiesz Bobusiu, ja pójdę tymczasem na chwilę zdrzemnąć się w hotelu, a za jakąś godzinę wrócę do ciebie. A może byś ty też poszedł? — mówiła pani Olga.

— Nie, wolę tu zostać. Obserwuję właśnie tę oryginalną parę Anglików, która tam siedzi pod tym czerwonym parasolem! — odparł Bogdan, siląc się na naturalność.

Wstała, podała mu rękę, którą on ucałował z galanterją. Zgrabna jej sylwetka w białym, skromnym, ale wytwornym kostjumie znikła wkrótce w bramie hotelu „Excelsior".

Uwaga jego na chwilę oderwana od biegu myśli znów skupiła się na wspomnieniach. Co za natrętne głupie myśli! I właśnie tu, w Riccione tem przepięknem miejscu kuracyjnem, wśród tej wytwornej publiczności, u boku pięknej i kochanej kobiety musiały go napastować! Co za ironja! Co mu się właściwie stało? Skąd ten nieznany dotąd sentymentalizm? Z chwilą, kiedy jego życie się tak zasadniczo zmieniło, kiedy stał się bogatym i szczęśliwym człowiekiem, czyż nic było to naturalne, że zapomniał o Kasi, wykreślił ją z swego życia?

Upał był straszliwy. Gdyby nie to, że siedział nieruchomo, byłby nie wytrzymał na plaży. Każdy mięsień był nabrzmiały z gorąca, każdy kawałek skóry parzył. I naraz poczuł w całem ciele jakby nowy war, nowe gorąco, które go oblało, jakby ktoś wylał na niego ogrącą wodę. Uczucie to szło od głowy ku dołowi, rozlewało się po całem ciele, paraliżowało ręce i nogi. Czy nie mógł zainteresować się Kasią, pomóc jej, dać jej na leczenie wtedy, gdy on sam opływał już we wszystko? Czyż nie było to jego obowiązkiem wobec bezbronnego i zdanego na łaskę i niełaskę losu stworzenia? Jakiś nieznany ból ścisnął mu serce. Nieznany a straszny, przeszywający. I naraz przypomniał sobie ten sam ból z swej młodości, kiedy to go opanowywał, gdy ktoś wyrządził mu niesprawiedliwość, a on czuł się bezbronnym i wiedział, że żaden płacz, czy krzyk nie zdoła dotrzeć tam daleko, hen, gdzieby znalazłby się sprawiedliwy sędzia, któryby ukarał winnych, a nagrodził nieszczęśliwych i pokrzywdzonych. Jego przykra i ciężka młodość w niewiele takich momentów obfitowała: chłopak zaciskał zęby, opanowywał ból i postanowił przebijać się przez życie. Wkrótce też płacz przerodził się w cichy szept nienawiści do całego świata, rozpacz zaś w determinację sprzedania drogo swej młodości i wydobycia z egzystencji maksimum korzyści. I dopiero teraz, po tylu latach, odkrył w sobie to wspomnienie młodzieńczych, chłopięcych nieomal przeżyć.

Bogdan poczuł, że między tym nieszczęśliwym chłopcem, dławiącym w sobie łzy, a sprytnym, obrachowanym na każdym kroku, przemyślnym młodym człowiekiem, jakim był obecnie, leży cała przepaść, wypełniona wieloma, drobnemi i wielkiemi postępkami, do których głośno nie mógłby się przyznać. I żal mu się zrobiło tego chłopca, jakim był: wiedział, że wtedy byłby on postąpił inaczej z Kasią, że zrozumiałby jej duszę, współczuł jej rzetelnie, pomógł. Wtedy widziałby w niej człowieka i biedną istotę, dziś stanowiła ona w jego życiu pozycję jedynie, jak cyfra w ogólnym bilansie handlowym. Mierząc tą miarą uczucia, Bogdan powoli stwierdzał swe ubóstwo, i przekonywał się, że budował nie na fundamentach, a na kulisach, na dekoracjach, które prędzej czy później musiały upaść. Lecz naraz zaczynał się buntować. Nie, nie na to głodował nieomal podczas swych studjów, nie na to męczył się, pracował, aby teraz ustępował jakąkolwiek z swych zdobyczy. Nie odda ani jednej! Lecz zaraz potem ogarniało go zwątpienie, jakaś słabość, i widział, o ile jest uboższym, niż przedtem. Owszem, uda mu się niejedno jeszcze w życiu, zdobędzie coraz to wyższe szczeble powodzenia, ale sam z sobą, oko w oko z własnem sumieniem, będzie coraz to biedniejszy, bo coraz więcej będzie tych myśli i czynów, do których przed nikim nie będzie się mógł przyznać. Będzie w ciągłej rozterce, będzie musiał ciągle zważać na swe słowa, na pozory. Coraz bardziej będzie musiał grać komedję: teraz komedję miłości wobec swej żony, później komedję szlachetności wobec społeczeństwa, a jeszcze później będzie zdobywał uznanie i poważnie wśród własnej rodziny, również pozorami i fałszem. Ale uparta natura poczęła się bronić: cóż w tem takiego strasznego, że nie pomyślał o Kasi? Cóż w tem takiego, że opuścił ją i pozostawił jej losowi? Starał się obronić przed samym sobą: już mu się to udawało, już był bliski rehabilitacji. Powracał powoli na drogę logicznego, spokojnego, konsekwentnego myślenia, jakiem się dotychczas kierował. Zrozumiał, że jakieś zmęczenie czy zdenerwowanie było jedynie przyczyną jego dziwaczynych myśli.

Nalał sobie do szklanki lemoniady i począł łapczywie popijać zimny płyn.

Smutne myśli prawie zupełnie rozpierzchły się pod wpływem miłego uczucia chłodu, jakie na chwilę go ogarnęło. Bogdan nie był naturą, jaką się zwykło nazywać „głęboką": odzwyczaił się oddawna od ujmowania rzeczy zbyt poważnie, zwłaszcza wtedy, jeżeli nie szło o jego dobro, tylko o cudze. Stwierdził to zresztą już kiedyś jego kolega biurowy, ten antypatyczny Burlecki, który na każdym kroku starał się mu dokuczyć. Burlecki był takim samym charakterem, jak Bogdan, tylko mniej obrotnym, mniej sprytnym, a bardziej niecierpliwym. Stąd powstała między nimi prawie zaraz od pierwszego wejrzenia nienawiść, jaką czuć do siebie mogą jedynie ludzie zdążający do bardzo szczytnych lub bardzo niskich celów. Wstrętna figura ten Burlecki! Bogdan otrząsnął się jakby sobie przypomniał jakiś koszmar nocny. Wstrętny i niebezpieczny! Chwała Bogu, że nie muszę go już widywać — pomyślał.

W oddali ukazała się Ola. Bogdan wstał z krzesła i zrobił kilka kroków w jej stronę. Opodal stał jakiś młody człowiek, który przypatrywał mu się badawczo: Bogdan

Ciąg dalszy na str. 12-ej.



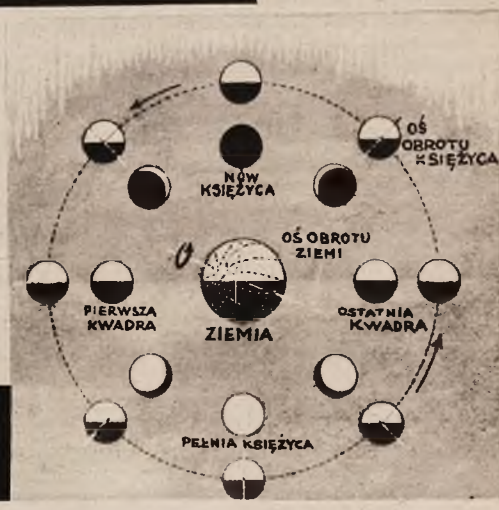
Poniżej: Wpływ promieni słonecznych na ziemię, oraz wysyłanie przez księżyc elektronów w kierunku ziemi przerywa jej „płaszcz" atmosferyczny.

Poniżej: Oto różne fazy księżyca: u góry widzimy zaćmienie księżyca, u dołu jego pełnię.

Wspaniałe zdjęcie księżyca bezpośrednio po pełni ukazuje nam plastycznie jego liczne kratery i góry.



KSIĘŻYC winowajcą



W poezji wierzeniach ludowych księżyc zdawien dawna odgrywa wielką rolę, bodajże donioślejszą, niżeli słońce. Jego srebrzysto-blade światło było i jest wspaniałem tłem dla przygód romantycznych. Ma ono w sobie coś tajemniczego, niepokojącego. Ludzie oddawna też podjrzliwie odnosili się do tego satelity, który krąży dokoła naszego globu, jak gdyby podpatrując, co na ziemi się dzieje i wywierając zagadkowy wpływ na cały szereg zjawisk. Wpływ to nie mały.

Przypomnijmy choćby potężne zjawiska przypływu i odpływu morza, dziwny związek z fizjologją połowy rodzaju ludzkiego, wpływ na wzrost roślin, zmianę stanu pogody itd. Ile tu jeszcze rzeczy nie zbadanych dokładnie, które może kiedyś ujawnią się jeszcze! W ostatnich czasach zamiast wyjaśnienia starych zagadek, powstały nowe. Przekonano się, że wpływ księżyca sięga jeszcze dalej, ni żprzypuszczano. Oto na przykład płyty marmurowe, które od r. 1920 specjalnie wystawiano na działanie światła księżycowego, mają dziś powierzchnię niemal całkowicie zżartą. Rozumie się, że ci, którzy te badania przeprowadzili, muszą mieć pewne podstawy do przypuszczenia, że ten skutek można przypisywać wyłącznie tylko światłu księżycowemu, a nie innym jakimś czynnikom atmosferycznym. Tkaniny roślinne pod wpływem światła księżycowego spełzły. Dotąd myśleliśmy, że tylko pod wpływem światła słonecznego może coś takiego się zdarzyć. Także i jedwab, zarówno sztuczny, jak i naturalny, wyroby wełniane zostały uszkodzone przez światło księżycowe. Nawet szkło nie zdołało ich uchronić przed tem szkodliwem działaniem. Niektóre związki chemiczne zostały rozłożone, a kultury bakteryj uległy zagładzie. Także i pod tym względem księżyc zaczyna konkurencję robić słońcu. Natomiast działa księżyc korzystnie na wzrost i kiełkowanie nasion. Wogóle podobieństwo działania światła księżycowego do promieni słonecznych jest ogromne, tylko, wbrew wszelkim oczekiwaniom, w wielu wypadkach jest jeszcze silniejsze.

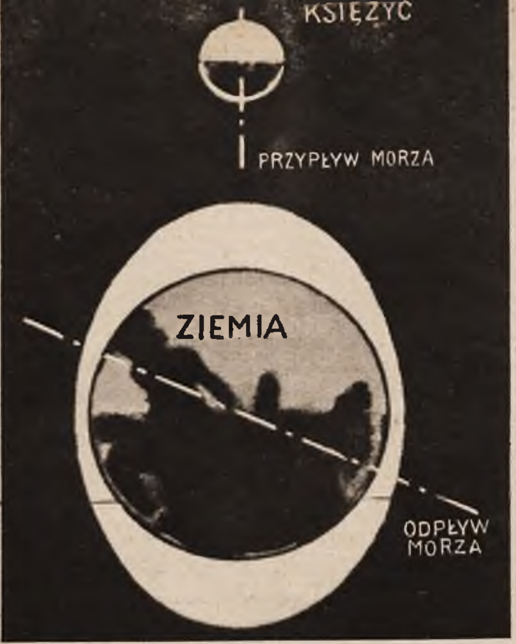
A to jest właśnie bardzo dziwne, bo przecież księżyc świeci tylko światłem odbitem, sam przez się nie jest źródłem światła, jak słońce. Jak więc wybrnąć z tego? Otóż zastanówmy się trochę nad tą sprawą. Światło słoneczne jest, jak wiadomo, mieszaniną świateł różnobarwnych. Mamy w niem światło czerwone, żółte, zielone, niebieskie, fjołkowe itd. Prócz tego są w niem promienie niewidzialnego światła, t. zw. podczerwonego i nadfjołkowego. To ostatnie m. p. powoduje czerwienienie skóry, zupełnie tak samo, jak światło ultrafjołkowe, wydobywające się z lampy kwarcowej. Właśnie światło ultrafjołkowe wywiera niesłychanie silny wpływ na wszystko, co napotka na swej drodze. Przecież potrafi nawet wytrącić elektrony z atomów i ogołocić je niejako z ich

szaty zewnętrznej. To niebyle jaka sztuka. Takie zjawisko nazywają fizycy „foto-elektrycznością“. W gruncie rzeczy jednak mają rację, bo pod wpływem światła, choć niewidzialnego (fotos) powstaje tu elektryczność. Takie swobodne, wytrącone ze swego położenia elektrony, oraz atomy pozbawione jednego lub więcej elektronów, to poprostu nosiciele elektryczności.

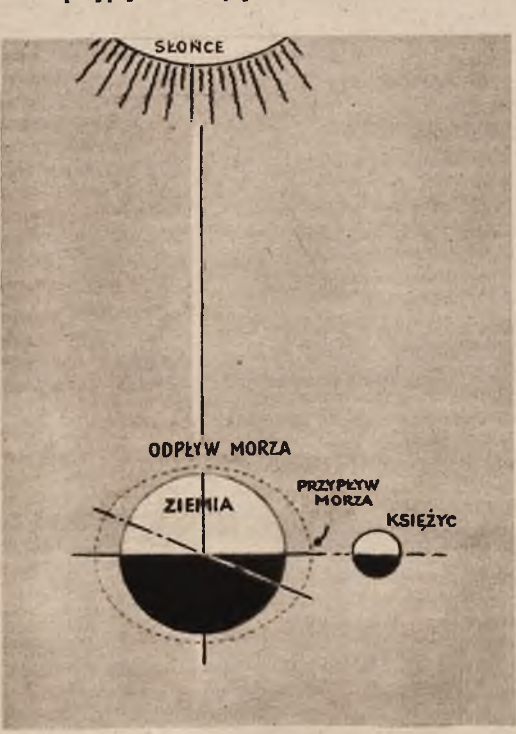
Otóż atmosfera, otaczająca kulę ziemską, rozprasza i pochłania częściowo światło słoneczne i osłabia je. Ale i tak przeważająca większość dostaje się na ziemię z wyjątkiem właśnie owych promieni nadfjołkowych, które tylko w nieznacznej mierze potrafią się „przecisnąć“. Właśnie one są najsilniejsze w działaniu, najbogatsze w energję, jak się to mówi. A przeszkadza im w przedostaniu się na ziemię, warstwa ozonu, czyli pewna modyfikacja gazu tlenu, która znajduje się w atmosferze na wysokości kilkudziesięciu kilometrów. Kto wie, czy temu płaszczowi z ozonu nie mamy do zawdzięczenia, że się wogóle życie na ziemi utrzymuje. Księżyc takiego płaszcza nie posiada, co więcej, nie ma dookoła siebie wogóle atmosfery. Możnaby tam wystrzelić z armaty, a nikby nic nie usłyszał, chociażby się znajdował w bezpośredniej bliskości. Gdyby więc ktoś na księżycu nawet żył, toby był głuchy jak pień. Ale księżyc nie posiada życia organicznego, boby się nie mogło utrzymać, skoro nie ma czem oddychać. Na księżycu światło słoneczne, a więc także jego część ultrafjoletowa, nie znajduje żadnych przeszkód i może sobie dokonywać swego dzieła zniszczenia. Zjawiska fotoelektryczne, o których wyżej wspominaliśmy, odbywają się tam nieustannie. A skutki? Odczuwamy je właśnie na ziemi.

Jeśli jednak atmosfera nasza i ozon potrafią nas obronić przed zbyt natarczywem działaniem promieni słonecznych, to dlaczego nie miałyby potrafić tego samego wobec światła księżycowego, które jest przecież tylko światłem słonecznem, odbitem od powierzchni księżyca? To pytanie jest zupełnie logiczne! Niestety, jednak nie zawsze umiemy na takie logiczne pytania odpowiedzieć. Niektórzy przypuszczają, że w nocy, kiedy księżyc świeci, ten płaszcz ozonowy staje się poprostu „nieszczelny“ i przepuszcza trochę tych niepożądanych gości z księżyca. Czy tak jest, to nie jest jeszcze dokładnie zbadane.

Ciekawem jest jednak i to obchodzi dziś wiele miljonów ludzi na ziemi, że w noce księżycowe odbiór radjowy jest o wiele gorszy, niż w czasie nowiu. Jest on tak zły, jak za dnia, gdy świeci słońce. I tu widzimy tę dziwną paralelę ze światłem słonecznem.



Słońce i księżyc współpracują w tworzeniu przypływu i odpływu mórz na ziemi.



Powstawanie przypływu morza uzależnione jest od działania księżyca.

Rejestr win księżyca się wzbogaca. Jak to znów wytłumaczyć? Próbują to obecnie w następujący sposób. Księżyc pokazuje ziemi stale to samo oblicze. Jest zwrócony ku ziemi zawsze są samą półkulą. Gdy ta zwrócona ku nam strona jego jest całkowicie oświetlona przez słońce, mamy pełnię, gdy oświetlona jest strona odwrócona od nas natomiast skierowana ku nam znajduje się w cieniu, mówimy o nowiu. W pierwszej i ostatniej kwadrze, tylko połowa półkuli księżycowej ku nam skierowanej jest oświetlona. Zrozumieć to łatwo można na podstawie załączonego rysunku. Otóż w czasie pełni światło księżycowe, a wraz z niem te wszystkie na podstawie zjawiska fotoelektrycznego wytrącone elektrony pędzą ku ziemi i „atakują“ ją. Taka podróż z księżyca na ziemię, jeśli się uwzględni prędkość światła i również bardzo znaczną szybkość elektronów. Powstaje wprost jak gdyby smuga elektronów, ciągnąca się od księżyca ku ziemi. Ta chmura elektronowa trafia na swej drodze w odległości około 100 do 200 kilometrów od ziemi, na warstwę również naelektryzowaną, t. zw. warstwę Kennely-Heaviside'a„ którą, jak wiadomo, ma niesłychanie doniosły wpływ na rozprzestrzenianie się fal radjowych i odbiór radjowy. W tej warstwie przeważa elektryczność ujemna. Również chmura elektronowa jest elektrycznie ujemna. Te dwie elektryczności o jednakowym znaku odpychają się wzajemnie, wskutek czego naelektryzowana, czyli zjonizowana, zbliża się ku ziemi, psując odbiór.

Takby wyglądała teorja tego wpływu księżyca na radjo w najogólniejszych zarysach. Ale ciekawe jest, jak starano się doświadczalnie to udowodnić. Posłużono się tu zjawiskiem zaćmienia księżyca. Zaćmienie księżyca zachodzi wtedy, gdy księżyc znajdzie się w cieniu ziemi, wskutek czego światło słoneczne do niego wogóle nie dojdzie. Oczywiście, że takie zaćmienie możliwe jest tylko w czasie pełni księżyca. Strona księżyca zwrócona ku ziemi jest w pełni oświetlona tuż przed zaćmieniem. Księżyc opisując swoją orbitę dookoła ziemi dostaje się na kilka godzin w jej cień, a wtedy mamy zaćmienie. Dnia 19 stycznia 1935 przypadło właśnie takie zaćmienie: trwało ono wówczas około 2 godziny i 32 minuty po wschodzie księżyca. A księżyc wzeszedł na 2 minuty przed zachodem słońca. Przed zaćmieniem i w czasie jego trwania odbiór radjowy był dobry i normalny.

Skoro tylko księżyc wyłonił się z ciemności warunki odbioru się pogarszały szczególnie na falach krótkich, aż stał się takim, jak za dnia. Księżyc ponosi winę nie za jedno zdarzenie na ziemi.

Inż. J. A.

Ciąg dalszy ze str. 19.
zmrużył oczy, by rozpoznać tę twarz, silne słońce utrudniało bowiem orjentację. Z pod angielskiej czapki patrzyły duże, szare oczy, wyzywające; sylwetka była zasadniczo elegancka, ale raczej przesadna, udająca elegancję. Twarz golona uśmiechała się ironicznie.

Bogdan przestał iść w kierunku swej żony: na sekundę przystanął, gdyż zdawało mu się, że widzi przed sobą Burleckiego. Przypuszczenie potwierdziło się, gdyż młody człowiek zdjął uprzejmie czapkę i nieco zbyt głęboko ukłonił się Bogdanowi. Nie było wątpliwości: Burlecki, jakimś niezbadanym cudem, dostał się na wytworną plażę, na której przebywał Bogdan z żoną. Skąd ten chłystek mógł sobie pozwolić na Riccione? Skąd wziął pieniądze na podróż? Miłe spotkanie, niema co? Zirytowany tem ledwo mu się odkłonił i podążył w stronę żony.

Po chwili usiedli pod barwnym parasolem przy stoliku. Zbliżała się godzina podwieczorku. Ola opowiadała o swych spostrzeżeniach, poczynionych o gościach hotelowych, rzeczy naogół mało ciekawe, ale którym Bogdan przysłuchiwał się z udanem zainteresowaniem, chociaż myślą krążył wokoło Burleckiego. Pojawienie się dawnego kolegi i świadka swych ciężkich czasów zepsuła mu do reszty humor. — Co za pechowny dzień — myślał. Najprzód te przywidzenia z tą Kasią, a teraz znowu ten „miły kolega“.

Zbliżył się kelner, pytając Bogdana i Olę o zamówienie na podwieczorek.

— Wiesz, Bobusiu, mimo upału jestem szalenie głodna! Napiłabym się czekolady i zjadłabaym kilka biszkoptów. Wszak od tego nie utyję? — dodała z szelmowskim, zalotnym uśmiechem.

— Ale gdzież, jesteś smukła jak łania, Olu! — odparł uprzejmie Bogdan.

Golony pan w angielskiej czapce zbliżał się powolnym, pewnym krokiem do stolika Bogdana. Lecz dopiero, gdy stanął przed nim, został przez niego zauważony.

— Przepraszam kolegę, że może przeszkadzam państwu, ale jako rodak i były przyjaciel postanowiłem ucałować rączki pańskiej uroczej małżonce. Może pan zechce mnie przedstawić! — wyrzekł Burlecki tonem bardzo spokojnym, grzecznym i wielkoświatowym.

Bogdan czuł się osaczonym. Nie było rady, trzeba go było przyjąć do stolika i poznać z Olą.

— Mój dawny kolega biurowy, pan Burlecki, — wyrzekł, nie patrząc na przybysza. Proszę„ niech pan siada — wskazał mu krzesło.

— Bardzo się cieszę, że spotykam rodaków, bo nie lubię przygodnych znajomości, które kończą się nieraz wielkiem rozczarowaniem — ciągnął dalej Burlecki, uśmiechając się uprzejmie w stronę pani Oli.

— Ja również się cieszę, że poznaję jednego z towarzyszy mego męża, którego znajomi stają się przez to samo moimi serdecznymi znajomymi — plotła pani Ola, nie orjentując się, jaki stosunek zachodzi między obu mężczyznami.

Raz po raz spotykały się spojrzenia Bogdana i Burleckiego: dawni koledzy badali się wzajemnie, zwłaszcza Bogdan, przeczu-

Dokończenie na str. 24-ej.

FRAGMENT NOWEGO RZYMU
SKWER W MIEŚCIE UNIWERSYTECKIEM



W NOWEJ ŚWIĄTYNI KULTURY



Ogólny widok ostatnio otwartego Muzeum Narodowego w Warszawie.

Dzień 18-go czerwca był uroczystem świętem kultury polskiej nie tylko dla stołecznego miasta Warszawy, ale niemniej ważnem wydarzeniem dla całej Polski. Otwarcie nowego gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie, to nie tylko zaspokojenie jednej z głównych potrzeb stolicy, t. j. stworzenie przytułku nauki i sztuki, ale przedewszystkiem warsztat, w którym ma się wykuwać dalsza praca nad pomnażaniem kultury naszego narodu. A to jest już sprawą, dotyczącą nie tylko stolicy jako siedziby tego warsztatu, ale całego państwa, które na rozrost tej kultury będzie się składało.

W uroczystem otwarciu wzięli udział: P. Prezydent R. P. Ignacy Mościcki, przedstawiciele rządu, duchowieństwa, zarządu miasta, świata naukowego, sfer naukowych, razem około trzy tysiące osób.

Zbliżających się do Muzeum uczestników uroczystości witały chorągwie i iluminacja Alei 3-go Maja, dając pierwszy znak, że miasto uważa otwarcie Muzeum za moment podniosły. Wchodzących witał gospodarz miasta, p. prezydent Starzyński oraz dyr. muzeum, p. Lorentz.

W ciągu dwóch lat zdołano muzeum wykończyć, wzbogacić eksponatami i uzupełnić, wreszcie urządzić. Tylko wielkiemu zrozumieniu potrzeb kulturalnych stolicy przez prez. Starzyńskiego i nadwyraz ofiarnej pracy dyr. Lorentza można było już teraz dzieło to doprowadzić do końca.

Dyr. muzeum i kustosze uwieńczyli jeszcze dzieło otwarcia muzeum 12-ma publikacjami, jak historja muzeum, przewodniki, katalogi i t. p., dla pośpiechu drukowane w Warszawie i Bydgoszczy. Wszystko było na dzień otwarcia gotowe i należy podnieść niezwykłą ofiarność pracowników, którzy zrezygnowali ze snu, aby tylko dopiąć postawionego celu w terminie.

Zbiory Muzeum Narodowego mają dość długą historję, bo sięgają 1862 roku, kiedy założone zostało Muzeum Sztuk Pięknych. Z powodu braku stałej siedziby, tułały się one po różnych pomieszczeniach tymczasowych i dopiero w r. 1916, kiedy Muzeum Sztuk Pięknych zamieniono na Muzeum Narodowe pod nową dyrekcją Bronisława Gembarzewskiego, znalazły zbiory stalszy punkt oparcia w gmachu przy ulicy Podwale l. 15. Tam miały pozostawać aż do ostatniego już pomieszczenia w stałej siedzibie t. j. w świeżo otwartem Muzeum Narodowem przy Al. 3-go Maja.

Dzięki wielkiej pracy i zapałowi dyr. Gembarzewskiego, zbiory rozrosły się w sposób imponujący i jak się dowiadujemy z historji Muzeum Narodowego w Warszawie, opracowanej przez dyr. dr. St. Lorentza, a wydanej z okazji otwarcia muzeum, liczyły już 1 stycznia 1925 r. przeszło 100.000 pozycyj inwentarzowych.



Hall wejściowy w Muzeum Narodowem w Warszawie.



Na prawo: Niezwykle ciekawy wyraz artystyczny posiada kuta w metalu krata w hallu Muzeum Narodowego.

Pierwszej przeprowadzki zbiorów do budującego się nowego muzeum dokonano w r. 1931. — Oddane wówczas na pomieszczenie zbiorów dwa pawilony zapełniły przedmioty przemysłu artystycznego, a uroczyste otwarcie tej części muzeum odbyło się 14 stycznia 1932 r.

Od 1 września 1936 r. nastąpiła zmiana w kierownictwie muzeum, gdyż dyr. Gembarzewski ustąpił, aby poświęcić się wyłącznie prowadzeniu Muzeum Wojska, miejsce zaś jego zajął dr. Stanisław Lorentz.

Nowemu dyrektorowi przypadło w udziale doprowadzenie budowy do końca, a więc wybudowanie 3-ch centralnych pawilonów, instalacje i urządzenie wnętrz, westibul, schody, dziedzińce i t. d.

W ostatnich miesiącach przeniesiono do nowego gmachu resztę zbiorów z ul. Podwale, a urządzenia działów dokonali odnośni kustosze. Zbiory są podzielone na działy:

I. Sztuka starożytna, obejmujący około 4.000 przedmiotów. Kierownikiem jest prof. dr. Kazimierz Michałowski, asystentem mgr. Marja Ludwika Bernhard.

II. i III. Malarstwo obce z ok. 1.200 eksponatami. Kustoszami są: prof. dr. Michał Walicki, doc. dr. Juljusz Starzyński.

Malarstwo polskie z ok. 3.000 szt. eksponatów. Kustosz: dr. Jerzy Sienkiewicz.

IV. Sztuka zdobnicza obejmuje ok. 10.000 szt. eksponatów. Kustosz: Stanisław Gebethner. Kustosz honorowy działu ceramiki: R. St. Ryszard.

V. Grafika zawiera ok. 61.000 szt. eksponatów. Kierownik: Marja Mrozińska.

VI. Numizmatyka z ok. 47.000 eksponatów. Numizmatycy: Anna Szemiothowa, Kazimierz Stefański.

VII. Muzeum dawnej Warszawy (w stadjum organizacji). Kustosz: dr Antoni Wieczorkiewicz.

VIII. Bibljoteka, około 11.000 numerów. Bibljotekarz: dr. Kazimierz Molendziński.

Jak widać z powyższego przedstawienia inwentarza muzealnego, nie wyczerpującego zresztą całego stanu posiadanego materjału, ilościowo zbiory prezentują się bardzo poważnie, ale ważniejszą stroną muzeum jest doborowa jakość eksponatów, stawiająca muzeum warszawskie na wyżynie europejskiej. Muzeum przechowuje obok zabytków znaczenia historycznego, rzeczy wysokiej wartości artystycznej, w każdym dziale znajdujemy poważną ilość objektów, którychby mogło nam każde muzeum zagraniczne pozazdrościć. Muzeum przez naukowe, celowe zestawienie i pokazanie eksponatów, spełnia dydaktyczne zadanie, a w działach zabytków polskich budzi szlachetny sentyment.

Najtrudniejszym przedmiotem zbiorów, jest dawne malarstwo, a to z powodu rzadkości i olbrzymich cen obrazów w Polsce i zagranicą. Muzeum warszawskie już z dawnych lat miało w tym dziale silne fundamenty, założone przez ofiarodawców, uzupełnienie jednak galerji i nadanie ciągłości rozwoju dawnej sztuki malarskiej przypadło w udziale dyrektorowi i kustoszom ostatnich lat. Mimo wielkich trudności, praca ta wydała wielkie rezultaty i z licznych darów i zakupów wypełnione zostały luki tak w malarstwie polskiem, jak i obcem.

Bogato przedstawia się dział ceramiki, obejmujący 1850 sztuk, szkła 2300 sztuk.

Od r. 1916 do r. 1938 muzeum zakupiło dzieł za 3 i pół miljona zł. Trudno w rozmiarach krótkiego artykułu wymienić wszystkie walory Muzeum Narodowego w Warszawie, stwierdzić tylko można, że każdy Polak zwiedzający to muzeum, wyniesie z niego uczucie dumy, a zarazem wdzięczności dla tych, co zrozumieniem i pracą do tego dzieła się przyczynili.

Muzeum jako gmach, którego budowa i wykończenie trwały, licząc od położenia kamienia węgielnego około 11 lat, przedstawia się na zewnątrz poważnie obszarem zajmowanej powierzchni, architektura ma cechy celowości, bez pretensji artystycznych. — Wnętrze muzeum imponuje przestrzeniami. Pięknie przedstawia się wejście z westibulem i schodami głównemi.

Muzeum składa się z 4 pawilonów równoległych, złączonych korpusem głównym. Pierwszy pawilon od strony Wisły zajmuje Muzeum Wojska, reszta zaś stanowi Muzeum Narodowe. Obok zbiorów mieszczą się w budynku kancelarje, pracownie konserwatorskie, wyposażone w nowoczesną aparaturę. Konserwatorem obrazów jest B. Marconi, sztuki zdobniczej J. Grein, fotografem p. Tomaszewska. Sale wystawowe otrzymały oświetlenie dzienne i nocne według wymagań najbardziej nowoczesnych.

Tak, mniej więcej, przedstawia się Muzeum Narodowe w Warszawie. Cieszymy się, że nasza stolica przez piękne i bogate Muzeum, stanęła w rzędzie kulturalnych stolic świata, dając świadectwo, jak poważne miejsce zajmuje naród polski w gronie środowisk kultury europejskiej.

To też delegacje i goście z całego kraju ściskali serdecznie dłonie prezydenta Starzyńskiego i dyrektora Lorentza przy składaniu gratulacyj. Skoro muzeum w Krakowie zostanie wykończone i pomieści bezcenne nieraz zabytki grodu wawelskiego, stanie się ono obok warszawskiego drugą z rzędu w Polsce skarbnicą sztuki i nauki, dającą na wieki całe możność gromadzenia zabytków naszej przeszłości.

Muzeum Narodowe krakowskie ma pomieszczenie tymczasowe aż w siedmiu oddziałach, nie może więc spełniać odpowiednio swego posłannictwa. Mnóstwo rzeczy przechowuje się w magazynach, inne z powodu braku miejsca nie są udostępnione. Kraków, miasto, które ma żyć z przeszłości, być miejscem pielgrzymek i turystyki, miasto nauki i tradycji oraz najdroższych relikwij narodowych powinno być oczkiem w głowie u naszych władz centralnych i powinno znaleźć uznanie konieczności większej opieki i pomocy w swoich potrzebach.

Od dziesiątek lat wlokła się sprawa budowy Muzeum w Krakowie. Zmieniały się liczne projekty co do wyboru miejsca, aż wreszcie uzgodniono, że Muzeum ma stanąć u wylotu ul. Marszałka Piłsudskiego. Sprawa budowy Muzeum zaczęła się przyoblekać w realne kształty dopiero od objęcia stanowiska prezydena miasta przez Dra Mieczysława Kaplickiego, który od początku swego urzędowania postawił wybudowanie Muzeum na pierwszem miejscu w programie swej pracy. Dzięki energicznemu ujęciu sprawy przez Prezydenta Kaplickiego, rozpoczęto budowę, dzieląc ją na dwa etapy. Pierwsza część Muzeum doprowadzona została już do skończenia szkieletu i czeka na wyposażenie wewnętrzne. Druga część ma być budowana po zupełnem wykończeniu pierwszej części, a losy tej budowy tkwią w mrokach nieznanej przyszłości.

Koszt budowy całego Muzeum jest przewidziany w kwocie 5 miljonów złotych, suma ta jednak napewno nie wystarczy. Na wykończenie wybudowanej pierwszej części potrzeba jeszcze około półtora miljona zł. Sama ofiarność publiczna, już bardzo wyczerpana, tych pieniędzy w całości nie dostarczy, trzeba więc szukać innych dróg i źródeł.

Kraków nie jest bogatem miastem i nie jest wstanie podołać usunięcia wszystkich bolączek, musi więc otrzymać jakąś wydatną pomoc, czy to w formie subwencji, czy też pożyczki. Kraków jest zbyt ważnym punktem w Polsce i zbyt ważną odgrywa rolę w świecie naukowym za granicą, aby w dalszym ciągu spotykał się z obojętnością, przynoszącą ujmę nietylko samemu Krakowowi.

Dwadzieścia tysięcy zwiedzających, którzy przeszli przez Muzeum warszawskie, nazajutrz po otwarciu, dało przykład, jak społeczeństwu potrzebny jest pokarm duchowy, czerpany z wyższych rejonów myśli ludzkiej. Niech ten przykład zachęci ofiarodawców i sfery decydujące w Polsce, dające zawsze dowody pamięci o potrzebach kulturalnych Państwa, do szybkiej i zdecydowanej akcji i przyczyni się do spełnienia ogólno-polskiego postulatu.

Nowe te świątynie polskiej sztuki i kultury będą również w przyszłości rękojmią, że nasz kulturalny stan posiadania nie będzie narażony na zniszczenie, jak to się wielokrotnie działo podczas wojny światowej w domach prywatnych i że wydarte pożodze wojennej zabytki pozostaną nadal w naszem posiadaniu.

R. St. Ryszard.

Poniżej: Korytarze Muz. Nar. w Warszawie odznaczają się wytworną prostotą.



Od lewej: Kolumnada przy wejściu głównem Muzeum Narodowego w Warszawie. — Sala polskiej sztuki średniowiecznej. — Hall na I piętrze zdobią ciekawe współczesne rzeźby.





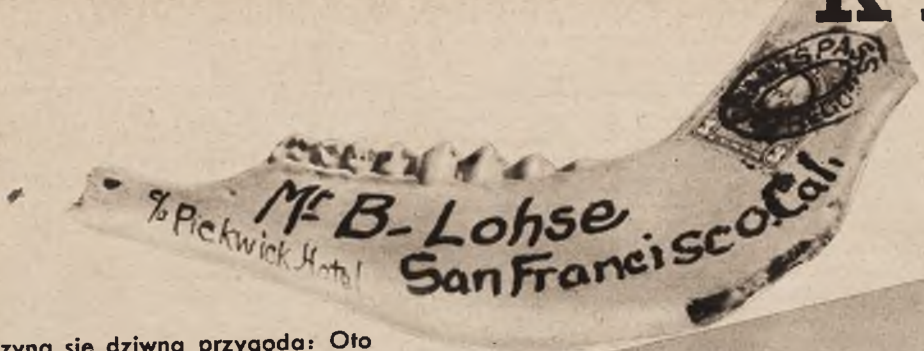




Projekt gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie.

Wszystkie zdjęcia „As".

KANIBALE À LA FOURCHETTE



Zaczyna się dziwna przygoda: Oto oryginalna kartka skierowana do dziennikarza europejskiego przebywającego w Ameryce.



W drodze do Grants Pass auto dziennikarza zostaje otoczone przez dziwne postacie, przypominające ludzi jaskiniowych.



Ameryka już przestała być krajem niespodzianek — powiedział półgłosem dziennikarz z Europy, mister Lohse, kładąc się na małą drzemkę w swoim pokoju, w sławetnym hoteiu „Pickwick". — Jestem tu już miesiąc i jeszcze nie przydarzyło mi się nic osobliwego. Nudny kraik!

I jeszcze echo ostatnich słów dziennikarza Lohse wałęsało się gdzieś pod sufitem pokoju hotelowego, gdy rozległo się pukanie... „Hallo?" — „List do pana!" List był nieco osobliwy, była to, poprostu mówiąc, zwykła kość, na której prócz adresu i starannie nalepionego znaczka pocztowego, znajdowały się słowa: *„Panie Lohse! Zechce pan udać się swem autem szosą w kierunku Grants Pass — spotka pana niespodzianka..."* — i nic więcej. Dziennikarzowi nie trzeba było powtarzać dwa razy! Wkrótce jego piękne auto mknęło we wskazanym kierunku. Po kilkudziesięciu kilometrach droga zaczęła się psuć — niebawem trzeba było jechać niemal polną dróżką... „Dziwnie musi wyglądać moje auto na tle tego napoły dzikiego krajobrazu" — pomyślał dziennikarz. Nagle rozległy się przeraźliwe ryki i gromada dziwacznych postaci otoczyła jego wóz. Mr. Lohse musiał gwałtownie zahamować. A wtedy obrośnięci ludzie, ubrani w skóry, wyciągnęli go z auta i powlekli do swej najdziwniejszej pod słońcem osady. „Ależ to ludzie pierwotni — olbrzymie Neandertaluny!" — jęknął dziennikarz, któremu olbrzym Talun skojarzył się w myśli z człowiekiem z Neanderthalu. „Graj z nami w piłkę!" — zawołał przywódca dzikusów łamaną, przedhistoryczną angielszczyzną. Mr. Lohse kopnął z rozmachem kształt, przypominający piłkę, i zawył z bólu: był to bowiem zwykły kamień. Zapomniał, że ci ludzie żyją jeszcze w epoce kamiennej... Dopiero wieczorem wydało się, że mr. Lohse jest gościem najoryginalniejszego klubu: „Klubu Ludzi Pierwotnych". Dżentelmeni razem z naszym dziennikarzem udali się na dancing do gospody „Pod Jaskiniowym Człowiekiem". Mr. Lohse już nie twierdzi, że Ameryka nie jest krajem niespodzianek...

B.

Na lewo: Jaskiniowcy biorą w niewolę zdziwionego turystę, który przypatrzywszy się bliżej nowym towarzyszom uważa za wskazane nie stawiać im oporu.

Poniżej: Pierwszy kontakt z „kanibalami" jest nieco przykry, ale trudno!













Od lewej: Oto pierwszy posiłek, jakim poczęstowa dziennikarza. — Surowe mięso trzeba czemś popić: spragnionego dziennikarzo nie odstrasza dziwna postać naczynia, z którego p — Jako nowoprzybyły jeniec musi się okupić swym panom grą „w piłkę nożną", którą jest duży kamień, odznaczający się zupełny akiem elastyczności. — Ale przygoda kończy się „happy endem": auto odwozi oryginalnych kanibalów do miasta. — A oto osta ap romantycznego przeżycia: wytworna kawiarnia pod godłem człowieka jaskiniowego gromadzi w Grants Pass najlepsze rzystwo.

Wszystkie zdjęcia: Mundi — Amsterdam.

Na SZACHOWNICY EUROPY



Rozbiór Polski stał się kością niezgody między mocarstwami rozbiorowemi, a powodując między niemi wojnę, przyczynił się do ich rozbicia i wskrzeszenia Polski.



Coraz silniej rozwijająca się flota niemiecka ugruntowała panowanie kolonjalne Niemiec, które w ten sposób poczynały zagrażać ekspansji Wielkiej Brytanji.



Rewanż za utratę Alzacji i Lotaryngji w wojnie 1871 r. stał się „idée fixe" Francji dążącej do odzyskania utraconych prowincyj i powodując ciągłe napięcie wobec Niemiec.



Rosja, panując nad większością ludów słowiańskich, poczęła w poł. XIX wieku głosić hasła panslawizmu, za któremi kryła się chęć ingerowania w sprawach bałkańskich.



Nie posiadając żadnych kolonij starała się Austrja odszkodować przez zabór Bośni i Hercegowiny w 1908 r., oraz przez wpływy na Bałkanach, mogące również dać zyski terytorjalne.



Montowana przez Edwarda VII i Delcassé'go Ententa przewidywała wzięcie Niemiec w „kleszczowy uścisk" ze strony Francji i Rosji, co ostatecznie stało się w 1914 r.

W olbrzymiej sali, której trudno dopatrzeć się końca, przechadza się antycznie ubrana postać, w powłóczystym stroju. Co chwila otwiera jakąś olbrzymią szafę, z której wyjmuje figurkę, podobną do figur szachowych i uczyniwszy nad nią jakieś dziwaczne ruchy, podobne do zaklęć, ustawia ją na szachownicy, leżącej na również olbrzymim stole.

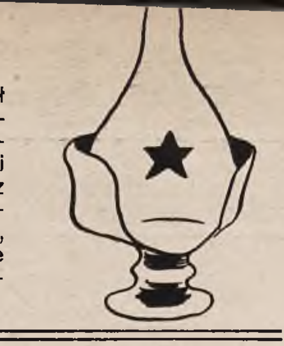
Właśnie wyjęła z szafy krasno pomalowaną figurkę młodej dziewczyny, w fartuszku, na którym widnieją ładnie wyhaftowane litery C. S. R. Dziewczę pokraśniało jeszcze bardziej, usłyszawszy słowa tajemniczej pani i zasłoniło oczęta.

— Będą dybać na twoją całość, będą chcieli cię uwieść! — mówi postać. Masz tu karabin, armatkę i trochę grochu, abyś się mogła bronić. Reszta do ciebie należy!

Olbrzymia szachownica zapełnia się figurami: figuranci pozostali w szafie. Widzimy więc wyciągniętą rękę w hitlerowskiem pozdrowieniu, czapkę spiczastą z czerwoną gwiazdą, widzimy Hiszpana-toreadora, który zamiast byków może śmiało zabijać swych rodaków, a dalej wieżę w postaci łuku triumfalnego Tytusa, czy Konstantyna. Oto figury szachowe, które owa pani, — zwana przez starożytnych Ananke, przez nowożytnych Polityką, — rzuca w bój. Wnet zakotłuje się na szachownicy: pionki, zbroczone krwią lub czerwonemi wstęgami orderowemi, albo czerwonemi gwiazdami, będą padać lub iść dalej do ataku.

Figury szachowe są niezmienne, jak i reguły tej gry, figury natomiast tej szachownicy europejskiej zmieniają się co pewien czas, a i z zasady gry się zmieniają. Gdy w szachach nie wolno „brać króla", tu nie tylko go się nieraz bierze, ale, co gorsza, zabija! Dwadzieścia lat temu przydarzyło się to carowi Mikołajowi, dziesięć lat temu powtórzyło się to samo w Madrycie i nie raz jeszcze się zdarzy.

Porównajmy repertuar szachownicy europejskiej z roku 1914, z tym, jaki był aktualny w dwadzieścia lat później. Te dumasowskie „dwadzieścia lat później" rzeczywiście do niepoznania zmieniły oblicze szachownicy: przybyło figur, przybyło też komplikacyj i możliwych ruchów. Jakież były w przededniu wielkiej wojny kwestje, które wchodziły w grę w polityce europejskiej? Przedewszystkiem sprawa polska. Rozbiór Polski, dokonany „sprawiedliwie" przez trzy mocarstwa, był w danej chwili zdobyczą. Ale owa „szara eminencja" Historji, jaką jest Los, pomściła krwawo tę zbrodnię: mocarstwa, dotychczas zgodne, poczęły się kłócić. Każde z nich chciało mieć wszystkie ziemie polskie: Rosja jako największe mocarstwo słowiańskie, Austrja uważając, że ma z Polską wspólną kulturę zachodnią i katolicką. Berlin i Petersburg oddalały się na tem tle od siebie, aż wkońcu zbliżyły się na... odległość rowów strzeleckich w r. 1914. „Le gôteau de la Pologne", ten tort europejski, który pokrajano w r. 1794, stał się kością niezgody i, dalej, powodem upadku tych państw. Francuzi nie zapomnieli straty Alzacji i Lotaryngji w r. 1871, rewanż stał się ich „idée fixe". Naprężenie wzrosło tem bar-



Od r. 1918 przybył polityce europejskiej nowy współczynnik w postaci podsycanego przez Niemcy, komunizmu rosyjskiego, który wkrótce wprowadził w Europie zamęt.



Stworzona przez traktat wersalski Czechosłowacja ujawniła charakter zbliżony do austrjackiego „bigosu narodowościowego", i stała się pożądanym łupem dla Niemiec.



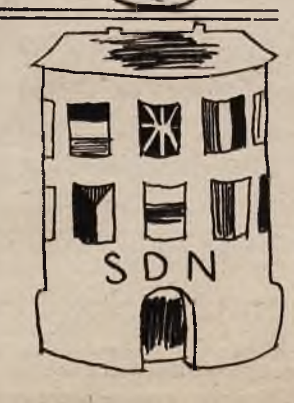
Od chwili objęcia rządów przez partję nacjonal-socjalistyczną, Niemcy przeszły od stanowiska defensywnego do ataku, chcąc włączyć wszystkich Niemców w swe granice.



Również faszyzm wzmógł dynamiczność narodową Włochów, którzy, zwłaszcza po zaborze Abisynji, dążą do ugruntowania swego panowania kolonjalnego, jako dziedzice Rzymian.



Upadek monarchji w Hiszpanji wydał ten kraj na łup wewnętrznych rozsterek, z których skorzystały Sowiety, czyniąc z półwyspu ważny ośrodek polityki europejskiej.



Powołana do wielkich zadań Liga Narodów stała się „romantycznym" parawanem, za którym tem silniej niektóre państwa przygotowywały się do przyszłej akcji.

dziej, gdy powstawać zaczęła Ententa, chcąca wziąć Niemcy w kleszcze rosyjsko-francuskie. Oto drugi współczynnik wojny europejskiej. Trzeci to kolonjalna potęga Niemiec. Zgodnie ze słowami Wilhelma II. „Deutschlands Zukunft liegt auf dem Wasser" Niemcy stworzyły olbrzymią flotę, zdobyły kolonje, zaczęły zagrażać Wielkiej Brytanji. Biedna Austrja, nie mająca kolonij, chciała nadrobić swe braki zaborem Bośni i Hercegowiny. W 60-tą rocznicę panowania cesarza Franciszka Józefa, w r. 1908 ówczesny minister spraw zagranicznych Austrji, bar. Aerenthal, przeprowadził bezkrwawą aneksję, zabierając te, zasadniczo tureckie, prowincje. Otrzymał za to order św. Stefana i tytuł hrabiowski, a Austrja dorzuciła do ogniska europejskiego jedną żagiew więcej, gdyż ekspansja Austrji, idąca na Bałkany, w imię interesów Węgier i tradycyj serbskich księcia Eugenjusza sabaudzkiego i Karola Lotaryńskiego, spotkała się tam z kontrekspansją rosyjską. Rosja, opiekunka Słowian i pretendentka do zdobycia Konstantynopola, siedziby greckiej kultury, z której sama korzystała przez wieki, wykonywała czynną opiekę nad Serbją i Bułgarją. W Serbji więc przecinały się ścieżki wpływów austrjackich i rosyjskich. Armaty były już naładowane, trzeba było tylko przyłożyć lont. Przyłożył go Serb, Princip, strzelając dnia 28 czerwca 1914 do arcyks. Franciszka Ferdynanda w Serajewie i pozbawiając go życia.

Na widowni Europy siedziały zmartwiałe ze strachu narody, czekając na rozpoczęcie przedstawienia. Widowisko było wspaniałe; kręcąca się scena Reinhardta była w porównaniu z prędkiem tempem zmieniania się obrazów wojny europejskiej prymitywem pierwszej klasy. Niestety aktorzy, w zapale, połamali wszystkie meble, poranili spektatorów i wogóle cały teatr spłonął.

Trzeba było zaczynać od nowa. Każdy kongres, ustalający granice nowych państw, staje się w zalążku niszczycielem tych granic: taka jest już przewrotność historji. Jak w r. 1815



Oto iskra, która wysadziła w powietrze boczki z prochem starej Europy: Kilka minut po zamachu na arcks. Franciszka Ferdynanda, morderca Princip zostaje ujęty przez policję.

w Wiedniu, poważni dyplomaci zasiedli w Wersalu do spisywania „status praesens". Stworzono nowe państwa, inne pognębiono. Ale niemal zaraz po traktacie, okazało się, że jest obecnie więcej niezadowolonych, niż było przedtem. Wszyscy mieli do wszystkich pretensje: Węgrzy do Czechów i Rumunów, Niemcy do Polaków, Polacy do Niemców, Włosi do Jugosłowian, Chorwaci do Serbów itd. Zbudowano wielki mur, na którym widniał napis „traktat wersalski", a rozrywką wielu narodów europejskich było walenie w ten mur taranami. Nie wiele udało się jednak uratować: z traktatu padał paragraf za paragrafem, a tymczasem w Niemczech powstawały paragrafy aryjskie. Hitler wyciągał rękę, ale nie do innych państw, tylko gdzieś w przestrzeń, nie wiedząc jeszcze dokładnie gdzie i kogo trzeba będzie zaanektować. Wkońcu Niemcy zdały sobie sprawę, że przedewszystkiem uderzyć należy na Czechosłowację, która jako owa wspomniana dziewczyna w fartuszku weszła nieśmiało na arenę polityki. Ale w tym samym czasie i Włochy doszły do przekonania, że jest im ciasno, i że wartoby poszerzyć ten pokój, w którym mieszkają, a jeżeli się to nie da, to zmienić go na wojnę. Wzięły Afryce Abisynję, a Europę na kawał i ogłosiły Imperjum Romanum. Przybyła więc nowa figura w grze europejskiej. Lecz zaraz potem ulubione w Hiszpanji walki byków zostały znacznie udoskonalone, gdyż na arenie zamiast byków znaleźli się ludzie, umiejący dobrze strzelać. Reżyserję objęła Rosja, dusząca się w swoim małym kraiku i szukająca nowych terenów ekspansji. Zaczęły się ciekawe wyścigi między Rosją a Włochami i Niemcami, w których rosyjski konik to wygrywał o głowę tego lub innego powieszonego komisarza, to znów przegrywał partję. Tradycyjnie nastrojona Francja idąc za powiedzeniem Ludwika XIV „il n'y a plus de Pyrenées" otworzyła granice dla czerwonych żołnierzy i czerwonej broni, co znów zirytowało Niemcy i Włochy. Nie będziemy już wyszczególniać innych „newralgicznych" punktów Europy: te wystarczą. Warto tylko wspomnieć, że staruszka Europa przeszedłszy czerwonkę, przechodzi obecnie fazę ząbkowania o tyle, że zbroi się po zęby, a Bóg raczy wiedzieć, jakie choroby ją jeszcze czekają....

Jan Maleszewski.



Partja szachów podczas wojny światowej z udziałem (od lewej) generałów Cadorny, Haiga, w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, Joffre'a, oraz Hindenburga i Hötzendorfa.

1914



1934



RODOWÓD „ASA"

Wiadomo, że słowo „as' jest homonimem. Jego wieloznaczność logiczna obejmuje szeroki zakres pojęć, których treść uwidacznia się dopiero w rozpatrywanym kontekście.

To „verbum mobile" znane jest brydżystom (i innym pośledniejszym amatorom gier karcianych) jako najwyższa i zawsze cenna, we własnym ręku karta („as pik, as coeur, as trefl, as karo"), dla sportowców wszystkich kategorji i wag jest uosobieniem mistrzowskiego uplasowania na czołowem miejscu jakiejkolwiekbądź tabeli, dla kulturalnych czytelników jest miłem wspomnieniem interesującej lektury jedynego w Polsce wartościowego magazynu, dla literatów, malarzy itp. sług różnych Muz jest cichem westchnieniem za świetlaną przyszłością itd. itd.

Możnaby znaczenia tego arcysłowa „as" ciągnąć w prawie niekończący się szereg. Zajmuje ono wyjątkową wprost pozycję w polskiem słownictwie. Jako „nomen specificum" jest pięknem imieniem (czy nazwaniem) rasowego terriera, znawcom rodzinnego piśmiennictwa znane jest jako tytuł wartościowego dzieła Dygasińskiego, dla chemików reprezentuje symbol arsenu, muzykom służy jako ton a obniżony chromatycznie, geografów prowadzi do czeskiego miasta koło Karlovych Varów, — jednem słowem nie ma bodajże dziedziny, w której nie możnaby znaleźć tego wszędobylskiego znaku.

Kiedy zaś doszło się do tego stwierdzenia, to z konieczności korcić musi każdego pytanie, skąd wziął się ten ciekawy okaz leksykograficzny? Gdzie jego miejsce urodzenia? Jakie jego personalja?"

„As" pochodzi z Rzymu; Roma antiqua, ta ówczesna metropolja świata, była miejscem jego szlachetnego „urodzenia". Bardzo dawno, bo przeszło 2000 lat temu, starożytni Rzymianie zamiast posługiwać się naszymi kilogramami i metrami woleli używać „asa' jako jednostki miary i wagi (t. zw. as libra). Zgodnie z ich systemem mierzenia podzielili go na 12 uncyj, ułatwiając sobie życie codzienne jeszcze w ten sposób, że transakcje kupna-sprzedaży dokonywali w ułamkowych częściach „asa", noszących dźwięcznie brzmiące nazwy dextansu, sextansu, quadransu, triensu, semisu i t. d.

Widocznie przyjemnie im było używać tego miarowo-wagowego asa, bo wkrótce — było to około IV wieku przed Chr. — przyjęli go do swego prymitywnego jeszcze systemu monetarnego. Trzeba zaś wiedzieć, że najdawniejsze rzymskie monety nie miały wyglądu i formy naszych dzisiejszych złotówek, okrągłych monet o oznaczonej wartości i „obliczu" menniczym, ten wygląd pieniądza bowiem wykształcił się dopiero w ciągu wieków.

Początkowo pieniądz starożytny był bity w formie czworobocznych sztabek w kształcie cegiełek. Wartość jego zaś obliczano pierwotnie tylko wedle ciężaru, przyczem jakość metalu, z jakiego był odlany, wchodziła oczywiście w rachubę w rozliczeniach handlowych. Ten pieniądz starożytny był w początkach istnienia systemów monetarnych bity prawie wyłącznie z miedzi.

Otóż „as" jako rzymska moneta był w noworodkowym swym stanie zwykłą czworoboczną sztabką miedzianą o wadze rzymskiego funta (z 327,45 gramów), bez jakichkolwiek ozdób czy oznaczeń. Dopiero za panowania Serwiusa Tulliusa wykryto na jednej stronie tej „ciegiełkowej" monety podobiznę zwierzęcia domowego, niczem na naszych złotych — orła. Taka „kanciastofuntowa" moneta była oczywiście b. niewygodna w użyciu, choćby z powodu swego wcale nieminjaturowego ciężaru i wymiaru, zczasem więc wypuszczono na rynek pieniężny „asa" w kształcie monety okrągłej, przyczem jednak jego wagę pierwotną zostawiono tę samą; podniesiono natomiast na wyższy poziom jego wygląd artystyczny, ozdabiając obie strony funtowego krążka rycinami: z jednej strony wyryto dwugłowe oblicze boga Janusa, z drugiej zaś wybito wizerunek przedniej części okrętu rzymskiego, zwanej vostrum. Ewolucja „asa" nie skończyła się jednak na tem. — Z biegiem czasu poczęto go jako jednostkę monetarną dzielić na drobne części — tak jak u nas można rozmienić złoty na grosze,

Wprowadzenie w Rzymie około 268-go roku przed Chr. monety srebrnej pod nazwą denar spowodowało deprecjację asa miedzianego. Strącono „bożka" z tronu. Przedewszystkiem wzięto się do jego zawartości metalicznej: z 12 uncyj zmniejszono go do jednej szóstej asa ciężarowego, to zmniejszenie jego wagi stało się jakoby hasłem i przyczyną jego oficjalnej degradacji. Nie ominęła go też, tak modna obecnie tendencja dewaluacyjna: po wielu eksperymentach walutowych wartość „asa" katastrofalnie obniżono do dwóch setnych jego pierwotnego waloru. Z głównej monety obiegowej stoczył się w czasach Cesarstwa do skromnej roli miedzianej monety zdawkowej.

„As" jako pieniądz odżył jeszcze przez pewien czas w średniowieczu w Holandji i miastach hanzeatyckich (np. Kolonja, Hamburg), nie odegrał on jednak już tutaj wszechwładnej roli głównego miernika wartości oraz potężnego środka obiegowego i płatniczego. Jako „sługa Mamony" zgasł bezpowrotnie, jak kometa na niebie.

W nowszych czasach zabłysł „as" na nowo, ale już w innem, wielorakiem zresztą znaczeniu i w innej zgoła szacie. Stał się głównie wyrazem optymalnego kryterjum oceny wartości wszechrzeczy.

Po tamtym dawnym pozostało tylko wspomnienie, które zamknięto w szklanych gablotkach numizmatycznego działu wielkomiejskiego muzeum. Dziś zaś dokonaliśmy „ekshumacji" jego, ażeby w „Asie" była wzmianka o „asie".

Mgr. Stefan Mizera.

OWOCE — KALIFORNJI
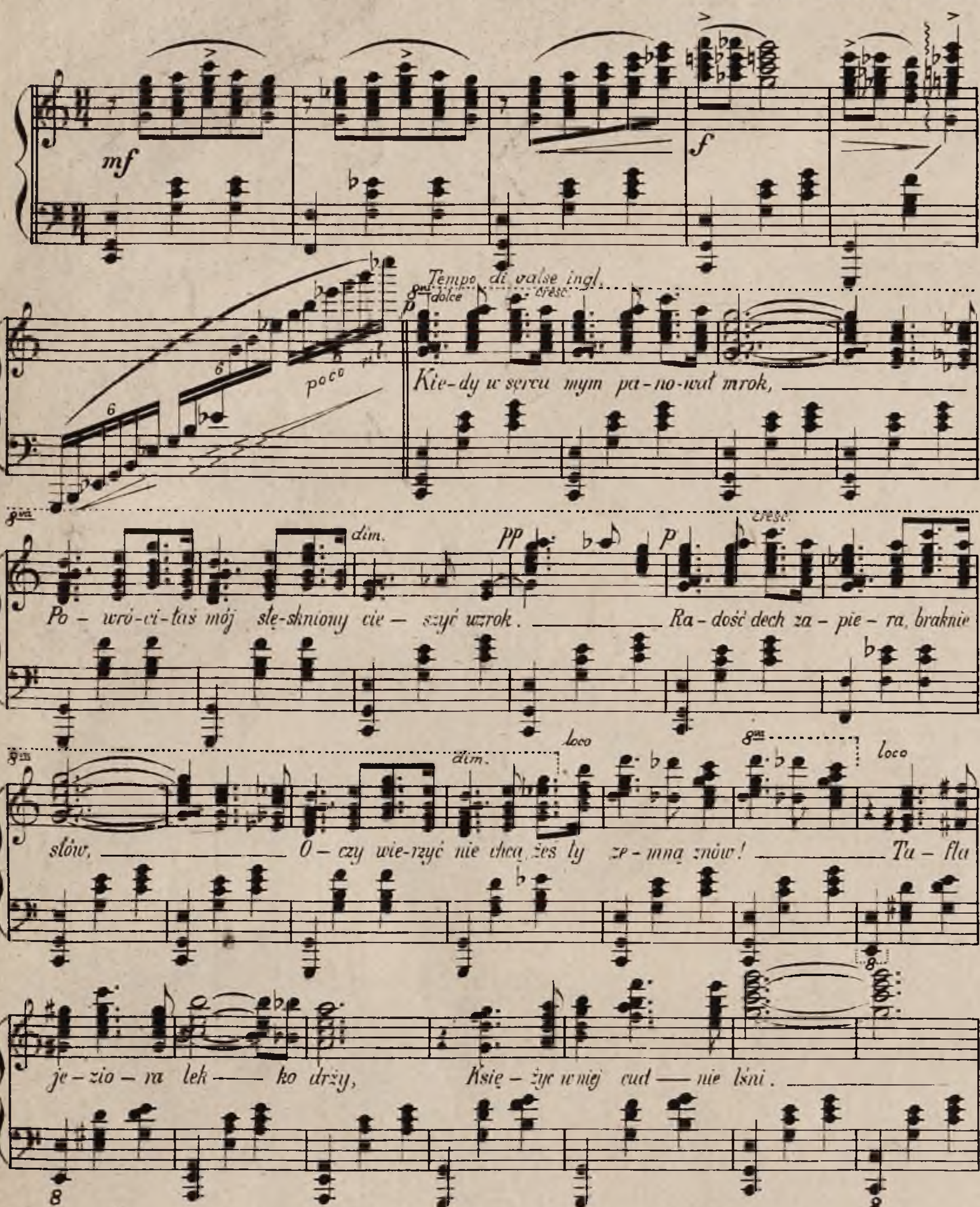


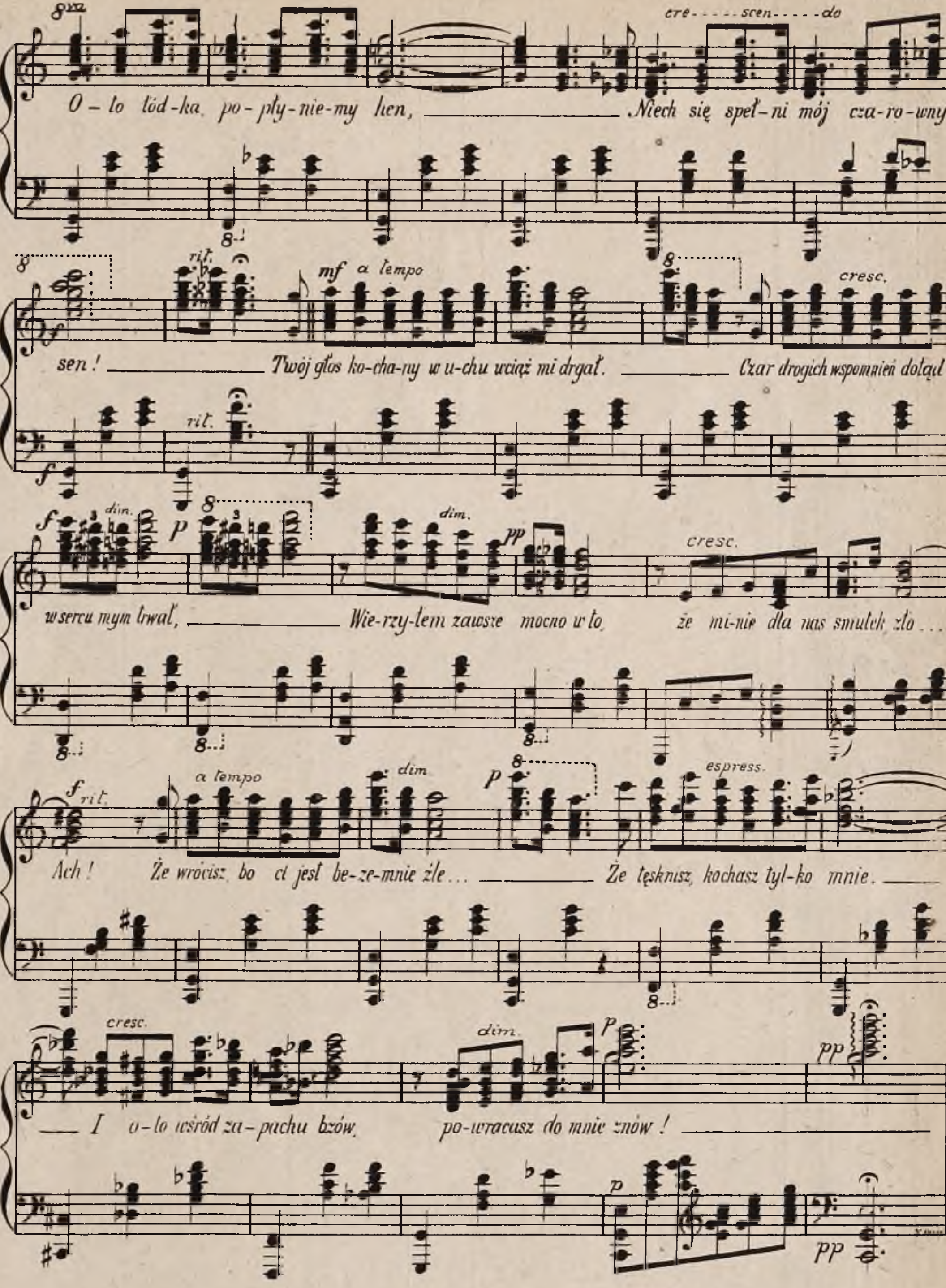
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

SPOTKANIE

WALC ANGIELSKI

Muzyka i słowa: WŁADYSŁAW MIKUŁA.





NOWELA

Fabryka dachówek.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

„Fabryka dachówek“ kryła się w „starej chałupie“.

Całą izbę, ciemną, zastawioną sztalugami i rzędami blaszanych form poił drażniący zapach oliwy i cementu, który w papierowych workach stał w sieni. Świecił się także komin z osmolonym gzymsem. Jak daleko sięgnę pamięcią wstecz, zawsze na tym gzymsie leżała gruszkowata fajka. Teraz tkwiła ona w zębach wuja Piotra. Z podkasanemi rękoma stał nad żelaznym stołem.

— Co, Pieter, znowu robisz?

— A ino! Co chwila spoczywam, bo gorąc jaz jaz!.., strzyknął przez zęby i odetchnąwszy głęboko, wywijał kielnią nad czołem. Na to tylko czekałem.

— A poco przyszedłeś do nas? —, zagadnął mnie.

— Przyniosłem Marcinowi książki, a teraz już wracam do domu. Chciałbym się przypatrzeć, jak idzie robota.

— A to zostań. Masz czas... Papierówki?

— Spatrzaj! — podsunąłem mu kapelusz z jabłkami

Włożył jedno jabłko do gęby, a potem zaraz zanurzył kielnię w cebrzyku i nakładał cement na formę. Stanąłem obok, umyślnie jak najbliżej, ażeby widzieć wszystko. Od zapachu oliwy zakręciło mi się w głowie, ale na to nie zważam.

A Pieter ubija bryję drewnianym tłukiem, a potem stalowym strychulcem przejeżdża po formie — tam i wzad, skrapia cement pokostem i znów głaszcze kluczem, a tak zgrabnie i szybko, że proszę siadać. Następnie bosą nogą trąca pedał, wskutek czego w szczęku blach wyskakuje gotowa dachówka, akurat na wysokość piersi, którą trzeba tylko odebrać i odłożyć na suche miejsce. Pieter kładzie dachówki na sztalugi, ale wiem, że jeszcze należy je wietrzyć w osobnej szopie i na przewiewie.

Robota idzie. Co moment bierze Pieter nową formę z podłogi, naoliwia ją pendzlem (a jest to pendzel z końskiego ogona) i powtarza się od początku, niestrudzenie, sprawnie nad wyraz. Chwilami, zwłaszcza gdy przyspiesza, widać tylko jakby jedno wywinięcie kielnią i jedno błyskanie kluczem. Cudownie!

Zdaje mi się, że wpadam w pewnego rodzaju upojenie. Zagłuszony muzyką stukotań, rytmiczną mową uderzeń i pchnięć, czepiam się kurczowo spodni wuja i patrzę z podziwem na warsztat, po którym skaczą foremne tafle z cementu o jaskrawych kolorach. Zaglądam pod spód blatu, gdzie mieszczą się pedały, palcami chciałbym pieścić ciężkie mutry i srebrzyste klucze.

W izbie gorąco i duszno. Pieter odsapnął, złożył ostatnią formę na okienku i kiwnął na mnie głową.

— Chodźmy!

Wywlekliśmy się na podwórze. Za płotem „wsi“ stoi podługowata ława. Pokazuje:

— O, tu se spocniemy.

Pieter wsadził ręce do kieszeni rajtek i siadł ciężko. Głowę i plecy wsparł o sztachety, nogi podsunął pod siebie, — rozległ się chrzęst złamanego łopuchu. Słychać szelest liści na osikach i brzęk much.

Wylazłem na ławę z nogami i wdychałem chłód cienia i wody. O kilka kroków w bok wietrzyła się sadzawka i widać było na wodzie pływające pszczoły, które wpadły tutaj, wylatując z uli, ustawionych za płotem sąsiada.

Naprzeciwko widzę tu kapliczkę. Tu straszyło temi czasami. Ktoś w czerwonym berecie orał nocą. Pokazywały się także siwe światełka o północku i słychać się dawało trzaskanie z bata. Ludzie, którzy to widzieli, mówili, że orka szła rozlaźle, pług djabelski ciągnął widać tylko jeden skórnik...

Zamyśliłem się. Patrzyłem uważnie. Kapliczka pokryta malowaną na czerwono blachą miała ściany tak białe, że na tle zieleni młodych grabin i w cieniu czterech osik wyglądała jak duża porcelanowa bańka zdjęta z telegrafu. Tylko jedna osika wyciągała ku górze dwa szerokie, grube konary, zrośnięte w połowie. Jedna taka osika wystarczyłaby, jak mówi Pieter, na wykonanie ośmiu masarskich koryt. Poza tem nic tu niesamowitego nie zachodziło.

Pieter wyjął tytonierkę i kręcił papierosa. Jedna bibułka spadła mu koło nogi i leżała na płaskim, dużym kamieniu, co go tu zasadzili niby schodek na Wielkanoc, żeby Marcin strzelał z kalichlorku... Długo się nachylał Pieter po tę bibułkę. Nabrzmiały mu na szyi wszystkie żyły i z czoła białego czapka spadła. Śmiałem się i on się śmiał.

Dobry był chłop. Wszyscy go lubili. Potrafił zadowolić babkę: drzewa przynieść, umleć ziarna, plewy świniom utłuc, wszystko... Lubił robotę. Potem szedł do dachówki. Miał swoje lata, ale się nie żenił, bo był chory. Pocichu się mówiło, że ma chorobę św. Walentego. Właśnie dlatego Pietra wszyscy tak pilnują.

Zawsze się większą tkliwością otacza nieszczęśliwego, kalekę, nieuleczalnie chorego. Wiadomo, że z choroby św. Walentego nikt nie wychodzi; pozostaje to na całe życie.

Gdym się teraz wpatrywał w wujka, żal mi się zrobiło: — Jak cię kocham, wuju dobry i piękny, wspaniale ci z tym papierosem!... Niebieskie oczy i wąsiki do góry podkręcone nawet nie pokazywały, że wuj ma tę chorobę.

To było bardzo dziwne. Pamiętam, przypominam sobie dokładnie, jak to raz przynieśli chłopi omdlałego wujka z kościoła na organistówkę, jak nim targały skurcze, jak się wił całkiem nieprzytomny i jęczał i musiało się go trzymać, żeby się nie pokaleczył na łóżku. Było to straszne. Wtedy mama płakała i opowiedziała tę historję. Znam ją, pamiętam wszystko. W domu tam byli jeszcze wszyscy mali: mama, wujek Józek i Wojtuś i ciocie: Hanusia i Kasia, a Marcina jeszcze wogóle nie było na świecie. Najmłodszego Petrka zapamiętali, jak liczył sześć lat. Pietrek bardzo lubił konie. Dziadek chował dwie pary koni, zwyczajnie przy dużem gospodarstwie. Pietrek jeździł na każdym, oswajał się — znał je, latem co niedzielę obie pary pasał w lesie. Las był jego! Poprostu rwał się z płaczem do lejców, a starsi ustępowali najmłodszemu miejsca. W polu przesiadał się na ognistego ogiera. Ogier był płochliwy, dziadek zawsze krzyczał i drżał, kiedy mały wskakiwał na siodło, ale wkońcu pozwalał. Patrzył z ganku, pod winogradem. Tam biegł okiem w zapola i cieszył się, że chłopak ma „chęć“ do koni.

Bał się dziadek nieszczęścia, ale nie przeczuwał, że ono nadejdzie. Jak to niewiadomy jest dzień i godzina!... Było to w samo południe, w żniwa. Chłopcy starsi zostali jeszcze w polu przy składaniu żyta, dziewczęta doiły w stajni krowy, dziadka brakło całkiem, bo poszedł na drugą wieś bić świnię — masarstwem też się trochę trudnił — wszyscy się gdzieś porozchodzili... A Pietrka też nie było. Ani jego, ani gniadego w stajni. — Tylko wrota od wsi stały szeroko otwarte.

Nagle przeszył powietrze przeraźliwy kwik konia i prawie w tej samej chwili otarł się o wrota siwe spieniony ogier. Porwane lejce, strach w zjeżnoje grzywie. Nie zatrzymał się.

Wpadł na ogród, złamał żerdź i pognał dalej. W pola, w świat!

O zły i niedobry gniadoszu, zląkłeś się na drodze głupiej kury? Poniosła cię swawola! Biada! Gdzież teraz Pietrek, coś go niósł na sobie! Nie wiesz? I teraz cię strach zdjął? O zły i dziki koniu, biada ci!...

Najpierw babka wybiegła z izby na pastwisko. — Nie daj Boże, żeby mu się co złego stało! — skamli — dopiero co jak siadł na źrebka! — już jest we wrotach, patrzy, a tam na kamienistej drodze gromada chłopów. — Cóż oni tak podnoszą te ręce i nogi! — dźwigają wolno i ostrożnie! Ależ to niosą jego, chłopaka! Jej najmilszego! Coś się łamie, nie może zrozumieć jeszcze, nagle straszna prawda wdziera się w czaszkę, jakby ją coś chciało rozsadzić:

— Zabity! zabity! — Mocny Boże!

Szloch rozdziera słabą pierś, przez moment nic nie widzi, — łzy jak woda... Już nie może czekać. Są coraz bliżej, idą wprost do niej. Leci teraz bez pamięci, dopada chłopów — jacy oni bladzi — woła: — Pietruś! Pietruś! — trzęsie chłopcem, krzyczy, błaga, ale ciało się nie rusza.

Wchodzą już w podwórce, a z nimi ludzie, dzieci, pół wsi. Już wieść pobiegła, że chłopak u Zdebiów się zabił. Składają Pietrusia Miguś siwy i cieśla Franek w sieni na pryczy, i tak smutno! Już obie siostry uklękły i płaczą nad ciałem:

— Pietruś! pocoś to zrobił, pocoś to zrobił!...

Pamiętam, że mamie zawsze świeczki w oczach stają, gdy do tego opowiadania dojdzie. Ale potem weseleje, unosi się głos i słychać jakby oddech ulgi: Oto Pietrka w tym płaczu dziewcząt i krzyku ludzi zaczęto cucić wodą. Już i dziadek przybiegł z drugiej wsi ,miał podkrwawione jeszcze ręce od świńskiej juchy. Krzyknął przeraźliwie: — Dawać płachty! W mig zrozumiano, o co chodzi. Że wcześniej o tem nie przypomnieli sobie. Wzięto chłopca w płachtę i czterech chłopów podrzuciło nim w powietrze. Pomogło. Po pół godziny uderzył puls nanowo raz i drugi. Wyczuł to dziadek. Lało się z niego, dygotał z utrudzenia, ale uczuł, że serce bije. — Doktora — krzyknął i zobaczyli, że dziadek szlocha i śmieje się.

Z biedą wielką, ale wkońcu udało się chłopca ocucić. Długo chorował, przeszło pół roku, aż i wyzdrowiał. Została tylko pamiątka — choroba św. Walentego... A przy drodze, na miejscu, gdzie Pieter spadł z konia, wystawił dziadek kapliczkę. Ach, ile to już lat minęło! Osiki rosną i rosną. Pytam je oczyma: — Drzewa, drzewa dziwne, dokąd to? Czy nie żal wam wuja?... Słucham — słucham. — Osiki szumią.

Twarz Pietra powlekał wody blask i słońca szmer. Pochyla się teraz i bierze z ziemi na palce mokre, zziębłe pszczoły, które przypłynęły do brzegu i schnąc na trawie, nie mogą jeszcze podfrunąć. — Takie to maleństwo — szpce — a jakie zmyślne! Miód zbiera po kwiatkach, a potem ludzie niedobrzy wszystko zabiorą. — — Jak one — biedactwa się skąpały! — litujemy się.

I jest coś niezwykle bolesnego, gdy usta wuja zaczynają drżeć i słyszę westchnienie. To jak znak zbliżającego się ataku... Drżałem na ławce i nie ruszałem się. Tak dobrze było siedzieć i już nic nie mówić. Rosa zaświeciła się w trawie, szmer wiązów nad głową. Kończył się dzień i dochodził nas w milczeniu wieczór Matki Boskiej Anielskiej. Zeszły gwiazdy i nad dachem szopy sfrunęły z drzew i traw ćmy wieczorne, białe. I cuchnie oliwą świeżo pomalowana dachówka, która schnie... Tyle pracy i przyjadą po nią wozem i zabiarą szybko. I może tylko z niej ktoś — tam — kiedyś ułoży, niewidziane jeszcze nigdy wzory, kwiaty i romby i krzyżki na dachu nowego domu.

W wieczór ten widzieliśmy, jak gwiazda spadła nad kapliczką. Świeciła się na gałęziach w osice i zgasła.

Dokończenie ze str. 12-tej.

wając jakąś zdradę, ale nie wiedząc z której strony, miał się na baczności, by odparować zdradzieckie uderzenie.

— Nie mają państwo pojęcia, jak serdecznem echem odbiło się w kołach dawnych kolegów i znajomych pańskie małżeństwo i pańskie szczęście! — mówił Burlecki.

— Widzisz, Bobusiu, jak to miło mieć takich znajomych! — zauważyła pani Ola, która, jak nie poinformowany o niczem widz, przypatrywała się, nie rozumiejąc wcale dwóch nieprzyjaciół.

— Bo też Bogdan zasługiwał na szczęście. Jaki był pracowity, jaki zabiegliwy. Gdy myśmy nieraz trawili noce na różnych „lumpkach", on myślał tylko o dokształcaniu się. Każdą chwilę wyzyskiwał, aby przygotować się do wybitnej roli, jaką w przyszłości zamierzał odegrać w życiu. Nie łatwo spotkać takiego człowieka...

Każdy komplement, padający z ust Burleckiego, był jedną obelgą więcej dla Bogdana, wiedział bowiem, że jego były kolega nie wierzył w to, co mówi, i poprostu drwi z niego, wykorzystując sytuację i niemożność Bogdana zareagowania na jego powiedzenia.

— Ale los go nagrodził: spotkał tak piękną i miłą kobietę, jak pani, dla której zapomniał o wszystkiem. Nawet o swej dawnej miłości...

Zapanowała chwila przykrej ciszy. Chcąc nie chcąc, Bogdan musiał coś powiedzieć, więc rzucił niby od niechcenia:

— Każdy młody człowiek zapomina o flirtach, gdy przychodzi prawdziwa miłość.

— Swoją drogą, zapomniał pan prędzej, niż byśmy się, pańscy dawni koledzy, spodziewali. Pan przecie kochał pannę Kasię...

— Nie mówmy o tem, — przeciął dalszą rozmowę Bogdan, tem więcej, że Ola zaczęła nadsłuchiwać z zainteresowaniem.

— Owszem, nie mówiłbym o tem, gdyby nie pewne okoliczności. Pani wybaczy, że o tem mówię, ale jutro stąd wyjeżdżam i nie będę miał już sposobności, a sprawa jest o tyle pilna... Burlecki cofnął się w tył, zasiadając lepiej w fotelu, jak to się zwykło robić, gdy rozmowa toczy się po myśli i człowiek nabiera pewności siebie.

— Panna Kasia umarła, niedawno temu, jakieś trzy miesiące. Umarła z choroby piersiowej i z nędzy... Nikt się nią nie zaopiekował... Ja nie miałem powodu, rodziny nie miała, miała tylko Pana...

Nerwy Bogdana nie wytrzymały. Odepchnął z całej siły stół, wstał i krzyknął zdławionym głosem:

— Niech mi się pan w tej chwili stąd wynosi! Przyszedł pan robić intrygi!

Burlecki wstał, był bardzo blady, ale zadowolony i uśmiechnięty.

— Bardzo panią przepraszam za tę awanturę, ale nie wiedziałem, że mąż pani ukrywał tę sprawę przed panią, bo inaczejbym o niej nie wspomniał. Miałem mu tylko oddać list tej nieszczęśliwej dziewczyny. Oddaję go pani, jako w godniejsze ręce.

Wręczył pani Oli kopertę i zanim zdołała coś powiedzieć, ukłonił się i odszedł.

Ciężko dysząc, usiadł znów przy stole Bogdan. Nie śmiał spojrzeć na żonę i nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jak wszystko wytłumaczyć? Ta w innym wypadku bez znaczenia miłostka jego kawalerskiego życia, u Oli nabierze wielkiego znaczenia po tem, co usłyszała od Burleckiego.

Ola patrzała na męża oczami, w których błyskała nienawiść. Ta przesadnie kochająca męża kobieta, która dotychczas dzięki jakiejś deformacji psychicznej perspektywy. uważała Bogdana za wzór mężczyzny, teraz, dowiedziawszy się o jego postępku wobec biednej dziewczyny, znienawidziła go. Dziwny instynkt kobiecy, solidarność płci, postawiła ją natychmiast po stronie tamtej, która była dawniej jej rywalką.

— Przeczytam, co pisze ta, której śmierci ty jesteś winien! — rzekła niemal szeptem, który przypominał syczenie.

— Nie jest moją ofiarą — wybuchnął Bogdan. Nie wiesz, jak było! Olu, uspokój się, nie bądź dzieckiem! — starał się uspakajać swoją żonę, sam nie wierząc w powodzenie.

„Bogdanie! — czytała Ola, — opuściłeś mnie, by się ożenić z bogatą, piękną kobietą. Życzę ci szczęścia, bo sama go nie zaznałam na świecie, ale wiedz, że postąpiłeś podle, że nie zaopiekowałeś się mną, choć mogłeś to uczynić, że odebrałeś mi resztkę wiary w ludzi. Łzy moje zaciążą na twojem życiu, chociaż życzę ci powodzenia. Ale Bóg jest sprawiedliwy, los się zemści. Twoja Kasia".

Pani Ola zmięła gwałtownym ruchem list.

— Ja się zemszczę za nią! — krzyknęła histerycznie. Kłamałeś mi, że masz dobre serce. Jesteś podły. Ją rzuciłeś dla interesu, bo mnie nigdy nie kochałeś. I mnie byś rzucił, gdyby się lepsza nawinęła teraz partja. — Wstała i poszła w stronę hotelu.

Nie spostrzegł wcale, że plaża opustoszała i że zrobiło się już ciemno. Naokoło błyszczało parę lamp, zawieszonych wśród bujnej zieleni. Zdala widoczna była jedna z sal kasyna, w której migały sylwetki pań w wieczorowych tualetach i panów w frakach.

Spojrzał ku niebu: ciemne, ciężkie obłoki przewijały się po niem, tworząc fantastyczne figury. Chłodny wiatr powiał od morza, zwiastun niepogody.

— Za chwilę będzie burza, — rzekł prawie głośno Bogdan i ciężko wstał z krzesła.



KWIATY U STÓP HIMALAJÓW

Uroda niewieścia w starożytnych Indjach była i jest bezcennym, a jedynym niemal skarbem każdej Hinduski. Kultywowana z pietyzmem, podnoszona sztucznie przez mistrzowską niemal umiejętność maquillage'u, przez malowniczy strój narodowy — przyczyniała się, jakże często, do ulżenia smętnej doli niewolnicy z haremu, która na przestrzeni tylu wieków pozbawiona była... „duszy i wszelkich praw ludzkich".

Gdy się zapozna bliżej ze wspaniałą mitologją hinduską, z nieprzeliczonemi klechdami i podaniami, które wciąż żyją wśród ludów półwyspu hindostańskiego — zadziwi przedewszystkiem ogromna ilość bogiń, park, dobrych wróżek na parnasie bóstw Hindostanu. Ich wielorakie cnoty moralne, zalety umysłu i serca, a wreszcie czar niewieści i uroda opiewane są podzień dzisiejszy. Weźmy pierwsze z brzegu — oto najbardziej osławiona Sita, słodka, a urocza żona bohatera narodowego, króla Ramy (z „Ramajady"), prawzór cnót niewieścich na półwyspie; oto głośna z rozumu i urody Savitri, hinduska Alcestis, albo uwodzicielska i powabna Parwatti, żona pięciu braci rycerzy-bohaterów Pandew i t. d. Opisy ich urody i królewskich szat zajmują nie mało miejsca w kronikach mitologicznych Indyj. Poeci i guślarze, wysławiając piękność swoich rodaczek, podnosili przedewszystkiem urodę oczu, „skrzących się miljardem ogni, czarnych jak noc, łzawych i tęsknych", ale żaden zapewne nie domyślał się, ile starania i uwagi poświęcała i poświęca dziś każda bez wyjątku Hinduska, aby oczy swe upodobnić do „gwiazd na niebie", aby w nich mogła się odbijać, jak w zwierciadle — dusza.

Obyczaj czernienia oczu rośliną kohlem, malowania rzęs i brwi — jest tak stary na półwyspie, jak same Indje i nie zniknie chyba nigdy. Co więcej, zapobiegliwe matki czernią oczy swym niemowlętom, aby w zaraniu życia słynęły w osiedlu, czy bodaj wśród swoich, w klanie, z odziedziczonych po niej pięknych źrenic. W każdym też babińcu przechowuje się z pokolenia na pokolenie, jak testament wiary, litanja przepisów i recept na przyrządzanie nieprzeliczonych balsamów i kremów.

Dotychczas istnieje też w Indjach już nie obyczaj, a raczej nakaz kreślenia na czołach czerwoną farbą sandałową kabalistycznych znaków kastowych — groszków i linij poziomych. Hinduski uważają je nie tylko za oznakę przynależności do wyższej kasty, (z czego oczywiście, są dumne; parjasi znaków kastowych nie noszą), lecz i za „znamię urody". Kobiety zamężne, zwłaszcza w Bengalu, prócz znaków powyższych kreślą jeszcze na czole specjalne kreski jaskrawo-czerwone, na znak swego stanu cywilnego.

A teraz bodaj słów parę o biżuterji.

Do najsędziwszych, niemal prehistorycznych czasów sięgających ozdób, za któremi przepadały wszystkie prawie bez wyjątku azjatki, były i są zausznice. Kute z najrozmaitszych metalów, wysadzane szlachetnemi i pół szlachetnemi kamieniami, fantastycznych fasonów, długie, sięgające niemal ramion. Wspomina się zresztą o nich w starożytnym Egipcie, w Chinach, w Japonji, a jeszcze dawniej w Babilonie i Assyrji. Kobiety Wschodu przepadały zawsze za tem



Młoda Hinduska przy porannej tualecie.

upiększeniem, jak również za bangalesami (bransoletami), które Hinduski noszą całemi tuzinami nie tylko na rękach, lecz i nogach. I co najdziwniejsze, nie rozstają się z tym sklepikiem ruchomego dobra nigdy: ani za dnia, ani w nocy. Mam tu na myśli kobiety z ludu. Mają one specjalną pasję do ozdób i zazdrośnie je strzegą. Noszą napierśniki, naramienniki, obręcze na szyję, brosze, pierścienie na palcach u rąk i nóg, nie rzadko koła złote lub srebrne w nosach i wargach.

Hindusi, jak wszystkie ludy wschodnie, słyną z dwóch charakterystycznych cech: zamiłowania do błyskotek, (zarówno kobiety, jak i mężczyźni!) oraz panicznego lęku przed mocami sił nadprzyrodzonych. Dwie te zalety, czy wady azjatów, jak kto chce, dają się uzależnić jedna od drugiej. Badanie sanskrytu, podań i legend religijnych dało nieoczekiwane wyjaśnienie, że wszystkie kobiety Wschodu dlatego tak obwieszały się nieprzeliczonemi blaszkami, kamieniami i t. d., aby zabezpieczyć swe głowy, ramiona, nogi, biodra, piersi, dłonie i stopy, wreszcie uszy, czoła i nosy przed zgubnem działaniem szatana. Amulety zaś już wyraźnie miały zapobiec wszelkim zakusom złych duchów, a nakładane dzieciom od urodzenia, nie dopuszczały czarciego wysłannika do kolebki. Przytem, wiadomem było od wieków, że korale, topazy, diamenty, szafiry, rubiny, szmaragdy i karbunkuły miały pod tym względem sławę pewną i wypróbowaną wielokrotnie. Zabobonne niewiasty hinduskie do dnia dzisiejszego zawieszają dzieciom okruszynę bodaj agatu, wiedząc, że działanie jego neutralizuje ukąszenie wszelkiego gada, zwłaszcza żmij jadowitych; koral — dopomoże skutecznie, by dziecko wyrosło zdrowo i miało mocny, odżywczy sen; a diament w najmniejszym nawet okruchu — zabije wszelką gorączkę. Opal, który kuruje doskonale malarję, nie powinien być noszony przez młode dziewczyny i mężatki, przynosi bowiem wiele niepowodzeń w sprawach miłości.

Charakterystyczną cechą Hindusek jest upodobanie w klejnotach i, mistrzowskiem zresztą, malowaniu twarzy. Znak na czole określa przynależność do wyższej kasty.



A teraz przejdźmy do opisu kolorowej, fantastycznie pięknej narodowej sukni Hinduski! Nosi ona dotychczas sanskrycką nazwę — s a r i. Składa się z jednego szerokiego i bardzo długiego kawałka materjału (7—9 jardów długości), z jedwabiu, muślinu, białego lnianego płótna, obramowanego bogatym ręcznym lub zwyczajnym, maszynowym szlakiem. Sari — owija się dokoła całej postaci kobiety, jeden koniec puszcza się wolno na nogi, drugi, suto zahaftowany, zarzuca się na głowę. Na lewem ramieniu suknia hinduska spięta jest agrafą lub klamrą z różnokolorowych kamieni. Zresztą sposobów noszenia jest tyle, ile dzielnic i kast. Na całość tualety elegantki wschodniej z ludu, czy towarzystwa — składają się przepiękne sandałki złote lub haftowane, (pończoch używają tylko Hinduski zeuropeizowane), staniczek z krótkiemi rękawami, lub poprostu napierśniki, no, i nieprzeliczona ilość świecidełek.

Przeciętnie sari z krajowego jedwabiu nabyć można na pierwszym lepszym bazarze za 4—5 rupij (8—10 zł.). Z przepięknych płócien samodziałowych, czy muślinu, — o połowę taniej. Oczywiście, są to sari najbardziej rozpowszechnione wśród mieszkanek wsi i miasteczek. W miarę zamożności wzrasta koszt sukni narodowej. Brokat, aksamit, prawdziwe koronki, bogate hafty, szlaki ze złotych lub srebrnych nici.

Hinduski noszą tę suknię z nieporównanym wdziękiem. A gdyby nawet wracały z Europy, ze studjów, nawykłe do stroju europejskiego, u siebie, w kraju — wrócą niechybnie do sari i sandałów na bose stopy. Czynią to nie tylko przez dumę narodową, lecz dlatego, iż w żadnym innym stroju córa Hindostanu nie czuje się bardziej sobą ze swoją ciemną twarzą, hebanowemi włosami (które myje często w kozłem mleku, aby nie czerniały i namaszcza wonnemi olejkami), i oczami, jak węgiel! Ruchem atawistycznej płochliwości zasłania sobie często pół twarzy zahaftowanym końcem sari, nawet wówczas, gdy już nie

Dokończenie na str. 31-ej.

XI

USTA DECYDUJĄ *o indywidualności urody*



Sprawdzenie maquillage'u warg należy do najbardziej charakterystycznych czynności pięknej pani.
Fot. Wide World Londyn.

Kanony klasycznej piękności wymagały, aby usta były bardzo małe, tak, aby wargi odsłaniały tylko sześć zębów. W epokach późniejszych coraz to inne wymagania stawiał kult piękności kobiecej twarzy. Dziś moda narzuca typy urody, wzorowane na słynnych gwiazdach filmowych, a posłuszne temu kobiety idą najczęściej ślepo w lansowanym w danej chwili kierunku. Niech tylko któregoś dnia padnie hasło szerokich, silnie karminowych warg, a nazajutrz ujrzymy ich tysiące na ulicach nietylko największych miast, ale i tak zwanej prowincji.

Ale spojrzyjmy na usta spotykanych kobiet uważniej, a przekonamy się, że każda z nich posiada w ustach jakiś indywidualny rys, co decyduje nieraz o całym wyglądzie i uroku twarzy. Czy nie jest nonsensem szablonowanie wszystkich ust i wszystkich twarzy kobiecych?

Zacieranie indywidualnych cech urody i tworzenie naśladownictwa paru uprzywilejowanych niewiadomo dlaczego typów jest nonsensem. W mocy każdej z nas jest zerwanie z tą manierą i podkreślenie charakteru twarzy przez indywidualny rysunek ust. Rysunek, gdyż przeważna ilość kobiet stosuje zasady makilażu i używa kredki do ust, czy płynnego karminu.

Aby nie popełnić przytem rażących błędów, które mszczą się na urodzie pięknej pani, a często narażają ją na śmieszność, czy drwiny, trzeba i tę sprawę kosmetyczną przestudjować głębiej i traktować usta z całą znajomością arkanów makilażu.

A więc zacznijmy od przygotowania ust do nałożenia kredki. Jak całą twarz, tak i usta trzeba lekko natłuścić kremem, przypudrować, a dopiero wtedy wziąść kredkę do rąk. Jeżeli usta są duże o szerokich wargach, stosujemy róż ku pomniejszaniu konturu warg tak na długość, jak i na ich szerokość. Aby zwęzić szerokie wargi małych









Od lewej: Przed nałożeniem różu na wargi należy je natłuścić odpowiednim kremem. — Po natłuszczeniu i napudrowaniu warg, róż trzyma się idealnie. — Przygryzanie warg powoduje szybsze krążenie krwi i czyni je czerwieńszemi. — Układanie warg jak podczas gwizdania działa wzmacniająco na delikatną skórę. Fot. Anders — Paryż.

ust, wykończamy je kredką dokładnie aż do kącików warg, a natomiast zwężamy je nieco. Małe usta i zbyt wąskie wargi można lekko powiększyć rysunkiem kredką, równie, jak można skrócić nieco ich linję, skoro wargi są wąskie, usta zbyt szerokie.

Równie ważny jak rysunek ust jest dobór koloru różu do warg. I tu najlepszym doradcą samą dla siebie będzie każda z pań. Zamiast hołdować kaprysom mody i zmieniać kolor warg wedle jej woli, najlepiej dobierać róż do odcienia swych warg, pamiętając, aby harmonizował z policzkami, a nawet z kolorem włosów i oczu.

Brunetki o smagłej cerze i ciemnych oczach powinny dobierać odcień różu w tonie fjoletowym. Blondynki o cerze złotawej mogą używać odcieni szkarłatnych, natomiast szatynki, o jasnej cerze, oczach niebieskich lub zielonych, najlepiej zrobią poszukując odcieni żółtawych. To samo rude blondynki.

Oczywiście są to tylko wskazania najbardziej ogólnikowe. Chcąc wybrać sobie odcień najodpowiedniejszy, trzeba przestudjować kilka próbek, pamiętając, że w dzień, jak cały makilaż, tak i usta, muszą być robione jak najdyskretniej, gdy wieczorem, przy silniejszem zwłaszcza świetle elektrycznem, można nieco tony wzmocnić.

Paniom, które unikają wogóle różu do warg, możemy wskazać stare, lecz niemniej skuteczne recepty konserwowania piękności ust. Składanie ust jak przy gwizdaniu działa wzmacniająco na delikatną ich skórę, przeciwdziałając równocześnie tworzeniu się zmarszczek wokół ust. Przygryzanie warg zębami przy zamkniętych ustach przyspiesza w nich obieg krwi i odrazu nadaje im żywy blask.

Oczywiście, że te zabiegi mogą być stosowane przez wszystkie panie, a skutek ich będzie tem pewniejszy, im więcej wytrwałości mieć będziemy w ich wykonywaniu.

Elwira.

Korpus dyplomatyczny stołecznego miasta stanowi zazwyczaj zamknięte w sobie kółko towarzyskie, znajdujące się u szczytów t. zw. high-life'u. Nie jest jednak „szczelnie" odseparowane od krajowej „śmietanki towarzyskiej". Te dwie sfery razem tworzą dopiero „elitę" stołeczną, o której się mówi i którą się podziwia. Ten świat miewa jednak również swoje atrakcje specjalne. Ale tu nie jest łatwo się wyróżnić: więc albo wyjątkową urodą, albo oryginalnością, albo gustem strojów, albo jakiemś już „hyper-bogactwem".

Nie jest jednakże korpus dyplomatyczny czemś stałem. Niema miesiąca, by ktoś nie ubył lub nie przybył. To jest częściowo przykre, bo traci się niekiedy miłych przyjaciół, z którymi już można było się zżyć, ma jednak też swe atrakcje, bo poznaje się coraz to nowsze osoby, przybywające czasami z bardzo daleka, owiane tchnieniem szerokiego świata, co samo nadaje im pewnego nimbu. Nowicjuszowi wszakże dość trudno zdobyć sobie „tubylców", to jest już bardziej „zasiedziałych" cudzoziemców, no i nie zawsze łatwo pozyskać autochtonów, choć trzeba przyznać, że naogół nie grzeszymy ksenofobją (na szczęście) lub nieufnością wobec nowych gości naszego kraju, których do nas przysyła służba dyplomatyczna.

Już dawno nie stała się tak szybko ośrodkiem zainteresowania, a wkrótce i sympatji żadna z pań warszawskiego korpusu dyplomatycznego, jak pani pułkownikowa Marie-Claude Arbitre, małżonka attaché lotniczego ambasady francuskiej. Posiada wszystkie wyżej wymienione warunki „atrakcyjności". Odrazu zwróciła uwagę na siebie swoją frapującą urodą „platynowej" blondynki (ten kolor włosów znów zdobył sobie na świecie miano najmodniejszego), wyszukanym gustem strojów i wielką ich rozmaitością, wreszcie nie tylko pięknym samochodem, (bo o to w korpusie dyplomatycznym nie trudno), ale i własnym... samolotem...

GWIAZDY WARSZAWSKIEGO „BEAU MONDE"

PANI PUŁKOWNIKOWA MARIE-CLAUDE ARBITRE



Pani Marie-Claude Arbitre.

Nie przypisujmy wszakże sympatji, jakie zdobyła sobie jasnowłosa pani cechom jedynie zewnętrznym. Jej najcenniejszą zaletą jest uosobienie „paryskości" w najlepszem tego słowa znaczeniu. I znów nie tylko dlatego, że pełna jest wdzięku i specyficznie paryskiego uroku i smaku. Jej „parisianisme" polega przedewszystkiem na szeregu zalet, które trzeba koniecznie wymienić po francusku. Bo jakże przetłumaczyć bez reszty błyskotliwy „esprit" pani pułkownikowej, lotność jej ujmującego „langage" i rozbrajająca „façon de parler", połyskująca perełkami równie oryginalnych, jak trafnych i dowcipnych epitetów? Jej „ripostes" czy to na przesadny komplement, czy na choćby najlżejszy docinek kogoś, zazdroszczącego jej zdobytego sukcesu towarzyskiego — przeszywają, jak ostrze szpady lub jak... szpilka entomologa, przekłuwającego skrzętnie zdobyty okaz motyla...

To też jeżeli rozkoszą jest już samo spoglądanie na panią pułkownikową, to rozmowa z nią, żonglującą „smakowitemi" powiedzonkami, jest prawdziwą ucztą...

A jaka gościnna i utalentowana z niej pani domu! — Jej przyjęcia są bardzo „stylés", w czem nie mało pomagają jej piękne salony przy ul. Senackiej Nr. 10. Ciekawe, że ten Nr. 10 jest na „całej" ulicy Senackiej jedyny! Niema narazie innych domów na tej „ulicy", będącej do niedawna jeszcze małą ścieżynką w prześlicznym parku Frascati, gdzie dziś stanął monumentalny gmach ambasady francuskiej, a dokoła niego już cała dzielnica.

Pięknie i przytulnie jest w apartamentach państwa pułkownikostwa. Zdobią je, zwłaszcza, bezcenne okazy tkanin i bibelocików chińskich. Poprzednie bowiem stanowisko pana pułkownika wymagało dwu i półletniego pobytu w Chinach.

— Bardzo tam było przyjemnie — opowiada mi pani pułkownikowa — ale do czasu. Im bardziej się nasz pobyt tam przedłużał, tem bardziej mnie nużył. Ludzie smażą się tam we własnym sosie „białej kolonji". Miałam, coprawda, do Chin sentyment, bo w graniczących z niemi Indochinach francuskich, poznałam mego obecnego męża.

— A pani sama jest chyba Paryżanką?

— Owszem, ale... nie z urodzenia. Ujrzałam światło dzienne w Burgundji...

Chciałem powiedzieć, że to znać, bo tylko ojczyzna wina może rodzić tyle finezyjnego animuszu, jakim odznacza się pani Arbitre. Ale w obawie, by nie być skarconym za może nieudały komplement, wolałem jedynie zadać banalne pytanie:

— Jak się pani czuje w naszym kraju?

— Nie wyobrażałam sobie, abym tak szybko oswoiła się z Polską i jej społeczeństwem. Czuję się tu, jak u siebie, może nawet niekiedy jeszcze milej. Tak umiecie do siebie

Dokończenie na str. 31-ej.



Attache lotniczy ambasady francuskiej w Warszawie płk. Andre Arbitre i jego małżonka są zapalonymi adeptami awjacji...



...lecz również kierowanie pięknym samochodem jest ulubionem zajęciem pani Arbitre.

LETNIE MODELE KAPELUSZY — 1938

Na prawo: Ulubionem przybraniem letnich kapeluszy są w bieżącym roku pęki kwiatów: białe konwalje stanowią z ciemną słomką kapelusza estetyczny kontrast. Fot. Dorvyne.



Tegoroczna moda letnia specjalny nacisk kładzie na przybranie głowy. Niepowrotnym wydaje się okres, gdy szykowną sylwetkę dopełniała główka bezpretensjonalnie strzyżona à la garçonne i szablonowy filcowy „kloszyk", wsunięty głęboko na oczy. Dziś, fryzura i kapelusz to naczelny akcent prawdziwej elegancji. Skromny kostjumik z tafty, shantungu czy nawet płótna — prosta w kroju suknia popołudniowa z wzorzystej krepy — bezpretensjonalna wieczorowa tualeta z organdy, batystu haftowanego czy gazy — każdy z tych strojów uzupełniony być musi kunsztowną fryzurą w loki i kapeluszem o starannie wystudjowanej linji i rafinowanem przybraniu z kwiatów, wstążek, skrzydeł ptasich lub oryginalnie upiętej wualki.

Rozmaitość form jest niemal niewyczerpana: obok męskich surowych filców noszonych do kostjumu czy płaszcza trotteur, widzimy fantazyjne toczki i turbany z wstążek i kwiatów, często ażurowo plecione tak, że włosy pozostają widoczne. Obok stylowych budek wiązanych lub spinanych pod brodą, modne są duże „pasterki" z florentyńskiej słomy, zgrabne i bardzo „młode marynarki" o dość dużem i prostem rondzie, fantazyjnie odwinięte nad czołem kapelusze, otaczające twarz jakby aureolą, zawadjackie „meksykany", przypominające sombrera cow-boyów i argentyńskich gauchów i dziewczęce, skromne „bretonki" z naturalnej słomki. Kapelusz popołudniowy — to już nie nakrycie głowy, lecz kreacja.



Oryginalny kapelusz ze słomki, przybrany fantazyjnie wstążką rypsową. Fot. Mundi, Amsterdam.

Wystudjowana linja ronda, jasne i żywe barwy, pomysłowość i różnorodność przybrań — oto ich charakterystyczne cechy.

A na wieczór? Na miejsce wieczorowego kapelusza wskrzeszono starą modę tak lubianych przez nasze babki „stroików". Korona, tiul, aksamitki i wstążki, kwiaty, liście, pióra, rinsze i kokardy — wszystko jest dopuszczalne, byle zdobiło główkę właścicielki i byle harmonizowało z tualetą. Są to lekkie upięcia, piętrzące się raz wysoko na czubku głowy, drugi raz opadające na czoło, to znów przesunięte na obok. Do sukni wieczorowej, noszonej do teatru, na koncert, w kasynie lub modnej restauracji te fantazyjne kreacje zastępują kapelusz, nie zakrywając jednak włosów i ściśle harmonizując z fryzurą.

Do takiego przybrania głowy dobiera się również inne akcesorja wieczorowego stroju. Gdy we włosach wiąże się wąską czarną aksamitkę spiętą nad czołem pękiem drobnych róż, za-

Dokończenie na str. 31-ej.



Na lewo: Strojne wieczorowe przybranie głowy z upiętych kwiatów i tiulu. Fot. Dorvyne.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

KALAFJOR W BIAŁYM SOSIE. Z łyżki masła i tyleż mąki sporządza się zasmażkę zupełnie jasną, zalewa łyżką mleka, zagotowuje i zaprawia solą, białym pieprzem, kilku łyżkami kwaśnej śmietany. O ile sos okaże się za gęsty, rozprowadzić go można wodą, w której kalafjor się ugotował. Kalafjor podzielony na drobne części wkłada się do sosu, zagotowuje i wydaje z krokietkami z bułki, ziemniaczkami lub ryżem.

KALAREPKA NA KWAŚNO. Dokładnie obraną kalarepkę szatkuje się drobno, parzy wrzącą wodą, odcedza i dusi następnie na maśle z cebulką i kminkiem. Miękką jarzynę zaprawia się octem lub sokiem cytrynowym, cukrem i solą oraz zagęszcza zasmażką. Kolor nadaje się karmelem, sporządzonym z kostki cukru, zrumienionego na ogniu i zalanego łyżką zimnej wody. Kalarepka, w ten sposób przyrządzona, ma smak duszonej kapusty, jest jednak delikatniejsza i łatwiej strawna.

JAJA NA MUSZELKACH. W płaskim rondlu zagotowuje się wodę osoloną z łyżką octu. Na gotującą się wodę wybija się ostrożnie **świeże** jaja, zbierająo łyżeczką rozpływające się białko wokoło żółtka. Po trzech minutach wyjmuje się jaja dziurkowaną łyżką i układa na muszelkach, posmarowanych masłem i wysypanych bułeczką. Jaja pokryć można grzybkami na gęsto uduszonemi lub posypać tylko grubo parmezanem, skropić masłem i zapiec przez kilka minut w gorącym piecyku. Potrawę tę podaje się na przystawkę.

RYŻ Z GROSZKIEM. 5 dkg masła rozpuszcza się w rynce i wsypuje na nie filiżankę ryżu, nie płukanego, lecz dokładnie wytartego w czystej ściereczce. Ryż praży się na ogniu, aż nabierze złotawego koloru, wtedv zalewa się go 2 i pół filiżankami gorącej wody, miesza po dodaniu łyżeczki soli i gotuje na sypko. Najlepiej uskutecznia się to w skrzynce samowarku, o której parę razy wspominałam, a której opis i sposób użycia podany był w dodatku kobiecym IKC z dnia 30. VI. b. r. Nr. 178. Osobno dusi się na maśle filiżankę zielonego groszku, dolewając skąpo wodą lub rosołem. Z groszkiem tym miesza się ugotowany na sypko ryż i podaje polany rumianem masłem.

BUDYŃ SEROWY W SERWECIE. 50 dkg sera twarogu tak miękkieg, aby się dał rozetrzeć, uciera się z 4 jajami, 7 dkg masła, małą łyżeczką soli i 8 dkg grysiku pszennego. Masę tę odstawia się na parę godzin, aby grysik napęczniał. Najpraktyczniej będzie załatwić to rano przy sporządzaniu śniadania. Na pół godziny przed obiadem formuje się masę w kulę, wkłada ją na środek zwilżonej wodą serwety, związuje końce, zawiesza na trzonku łyżki drewnianej, którą się opiera na brzegach dużego garnka z gotującą osoloną wodą, tak, aby serweta ze swą zawartością luźno w wodzie pływała. Po 30 minutach wyrzuca się budyń z serwety na półmisek, kraje w plastry i polewa rumianem masłem z bułeczką. Dla amatorów słodkich legomin podać można do budyniu sok owocowy lub kompot z trześni.

KAPŁON NA DZIKO. Oczyszczonego i wymytego kapłona szpikuje się młodą słoniną, polewa bajcem nagotowanym z słabego octu z korzeniami. W bajcu pozostać ma kapłon przez 24 godziny. Wyjętego z bajcu ptaka piecze się przez 1½—2 godzin przy pilnem polewaniu masłem. Sos z pod pieczystego zaprawia się kilku łyżkami śmietany, rozkłuconej z łyżeczką mąki i troszką bajcu, dodaje łyżkę kaparów lub trochę pasty sardelowej, zagotowuje i podaje osobno w sosjerce.

KRUCHE CIASTO NA PLACKI Z OWOCAMI. 28 dkg mąki i 20 dkg masła rozciera się razem na sypką kaszę. Do tak roztartego masła z mąką dodaje się 1 cało jaje i 1 żółtko, pół łyżeczki soli, 6 dkg cukru pudru, skórkę otartą z cytryny i 2—3 łyżek śmietany, t. j. tyle, aby się utworzyło tęgie ciasto. Wałkiem (nie rękami) wygniata się ciasto, przewałkowując je kilka razy, aż będzie zupełnie gładkie. Po każdorazowem wałkowaniu należy ciasto odłożyć w chłodne miejsce na pół godziny. Ostatecznie formuje się z ciasta placek grubości grzbietu noża, układa na blaszce, posypuje tartą bułką i przygotowanemi owocami, zawija brzegi do środka, tak, aby sok wydzielający się z owoców nie wypływał. posypuje cukrem i piecze w dość gorącym piecyku. Po upieczeniu i wystudzeniu kraje się placek w kwadraty wielkości dłoni i wyjmuje kawałkami na półmisek. (W całości wyjęte ciasto pokruszyłoby się, chyba że upieczono je w tortownicy).

MARJENBADZKI TORT PORZECZKOWY. 14 dkg masła uciera się na pianę, dodaje po łyżce 20 dkg mączki cukrowej i 6 żółtek po jednemu przy ciągłem ucieraniu. Cała czynność ucierania powinna trwać pół godziny. Wkońcu dodaje się pianę z 6 białek i 12 dkg tartej bułki, przesianej przez sito. Masą napełnia się formę tortową masłem natartą i sypką mąką wysypaną. 25 dkg porzeczek obiera się z szypułek i osypuje lekko miałką tartą bułką. poczem nakłada je łyżką równo na ciasto. Tort piecze się w wolnym piecu przez godzinę. Upieczony i przestudzony tort odwraca się na sito, na którem wystygnie zupełnie. Do tortu tego podaje się bitą śmietanę (kremówkę).

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Wyjeżdżając na wakacje należy zabezpieczyć wszystkie wełniane części garderoby znajdujące się w szafach, gdyż nasi odwieczni wrogowie — mole nie pozostawią ich w spokoju. Skrzętne gospodynie nie marnujące niczego w domu znajdą napewno trochę wysuszonych skórek pomarańczowych, których zapach odstrasza mole. Skórki te wiesza się na wieszakach w szafie w małych tiulowych woreczkach. Zamiast skórek pomarańczowych można też użyć np. gałązki leśnego rozmarynu, sprzedawanego na targach większych miast.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 30	Lipiec — 31 dni
NIEDZIELA 17 Aleksego	Kalafior w białym sosie w miejsce zupy. Jaja na muszelkach. Kapłon na dziko z makaronem. Marienbadzki tort porzeczkowy. Kolacja: Wędlina z musztardą.
PONIEDZ. 18 Szymona z Lip.	Zupa kalafiorowa z lanem ciastem. Ryż z groszkiem. Kurczę w papryce z kluseczkami. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Jaja w szarym sosie na zimno.
WTOREK 19 Wincentego	Rosół z młodemi jarzynkami. Sztuka mięsa z sosem jajecznym i szczypiórkowym. Wątróbka cielęca szpikowana pieczona w całości, z mizerją. Kompot mieszany. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
ŚRODA 20 Czesława	Chłodnik owocowy z grzankami. Budyń serowy z masłem. Kaczka pieczona z kalarepką na kwaśno. Placek kruchy z owocami. Kolacja: Omlety z grzybkami.
CZWARTEK 21 Praksedy	Zupa jarzynowa purée na miesie z płatkami. Kalafior w sznycelkach. Polędwica wołowa po angielsku z garniturem jarzyn. Pianka poziomkowa z waflami. Kolacja: Budyń z mięsa wołowego.
PIĄTEK 22 Marii Magdal.	Zupa śmietanowa na perłówce. Marchewka z groszkiem i krokietkami z bułki. Karp w galarecie. Strudel z wiśniami. Kolacja: Ryba marynowana lub grzybki.
SOBOTA 23 Apolinarego	Zupa ryżowa. Faszerowana kalarepka. Gulasz debreczyński. Buraczki z śmietaną. Placek z borówkami. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.





HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania Nru z 28-go.

ŚMIESZNY POMYSŁ STASIA.

22 minuty.

KRZYŻYKÓWKA.

Poziomo: 1. kogut, 2. pyton, 3. gil, 4. tygrys, 5. obroma, 6. śpią, 7. ów, 8. reda, 9. ta, 10. leda, 11. rama, 12. cap, 13. ar, 14. Dekan, 15. Irena, 16. as, 17. bo, 18. ort, 19. sonda, 20. efeb, 21. Wanda, 22. kopra, 23. Dania, 24. murt, 25. amant, 26. zorza, 27. to, 28. Rodan, 29. borsuk, 30. on, 31. Circe.

Pionowo: 1. koala, 2. komar, 3. Erato, 4. moc, 5. ogród, 6. waadi, 7. owad, 8. samna, 9. ul, 10. ebonit, 11. anakonda, 12. be, 13. ranka, 14. nora, 15. ogier, 16. kurs, 17. trąd, 18. Noe, 19. rzut, 20. cerf, 21. ptak, 22. psota, 23. tok, 24. okapi, 25. baton.

WĘDRÓWKA ŚLIMAKA.

We czwartek o 6 rano był w odległości 40 cm od szczytu, na który wydostał się o g. 10.48. Potem już posuwał się z szybkością 100+30 cm dziennie, tak, że na ziemi znalazł się w sobotę o 9.36.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KWIECIEŃ I MAJ.

Kwiecień pisze do Maja: „Bardzo Ci mój kochany dziękuję za pieniądze! Całą tę sumę podzieliłem równo między moich chłopców z tym jednak warunkiem,, by każdy z nich wszystkie pieniądze wydał na prezenty dla sióstr. Każdy z nich kupił jakiś drobiazg dla każdej z dziewcząt. Wszyscy chłopcy wydali swe pieniądze w „barze złotówkowym" — wiesz chyba bowiem, że w naszem miasteczku mamy wielki bazar, w którym w jednym z kiosków wszystkie przedmioty kosztują po jednym złotym, w innym tylko po 2 zł. itd.

To zabawny zbieg okoliczności, że żaden z chłopców nie kupił dwóch prezentów w tym samym kiosku i że każdy z nich kupował w innym zestawieniu kiosków. Przypuszczałem, że jest to niemożliwe, jednak Wtorek udowodnił mi możliwość takiego wypadku".

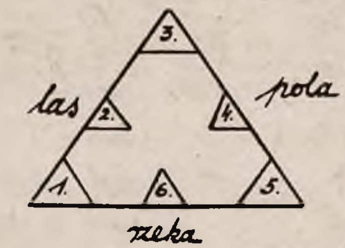
Ile dzieci miał Kwiecień?

TRZY LICZBY.

Proponujemy Czytelnikom znaleźć trzy takie liczby, które dodane do siebie lub też pomnożone przez siebie, dają ten sam wynik?

OBRONA FORTECY.

Komendant fortu posiadał silną załogę i rozmieścił ją tak, że w każdej baszcie



znajdowała się równa ilość wojska. Jakież było zdziwienie wrogów, gdy następnego dnia po bitwie, w której zabito 15 obrońców każdej strony broniło tyle samo żołnierzy. Na trzeci dzień po takim samym wyniku walki, wróg zaprzestał ataku od strony rzeki, lecz o dziwo, każdej ze zagrożonych stron broniło jeszcze o 10 żołnierzy więcej!

W drugim dniu baszt wewnętrznych broniło po 20 osób; jak więc rozmieszczał swą załogę dowódca?

Bywalec hotelowy w więzieniu.



„Esquire".

Dokończenie ze str. 8-ej.

Voltaire'a w połowie XVIII wieku (1755) aktorzy Lenain i Clairon grają mandarynów w strojach polskich! Znów w tragedjach klasyków Król Fernand w „Cydzie", Cesarz August w „Cynnie' lub Kapłan Joad w „Atalie" będą z godnością występować w perukach.

Bezimienna komedja francuska dała późniejszym komedjo-pisarzom pewne zhieratyzowane postacie o cechach, które współczesny psycholog potrafi sklasyfikować. — Będzie więc typowy służący (Maskaryl, Sganerel, Skapen, Kasper) rodzajem „hypomanjaka-pyknika" według nomenklatury Kretchmera. Il Capitano, Kapitan Fracasse, to niewątpliwi sangwinicy. Ze starych sztychów Pantalon, Poliszynel, Signor Dottore Basilio, ukazują nam swe typowe zniekształcenia budowy i ruchy schizofreniczne. A melancholiczni Pierrot i Kolombina!

Całe panoptikum psychopatologiczne przewija się w komedjach Moliera od Skarpa, przez Chorego z urojenia, Pana Jo[illegible] do „Tu l'as voulu George Dandin!"

Już późno. Zegary St. Etiene du Mont dzwonią północ. Wracam wśród zgiełku aut do hotelu. Widzę jeszcze przejęte twarze dzieci, dla których jakiś wielki magazyn „Au bon Marché" urządził teatr marjonetek na ulicy, z okazji wyprzedaży. Biorą udział w bohaterskich iluzjach, Guignol rozpalił ich policzki i krzyczą przejęte jak gdyby dawny teatr wrócił, a ponad dachami nie świeciły reklamy na wieży Eiffla.

Dokończenie ze str. 26-ej.

nosi autentycznej zasłony na twarzy — pardah.

Suknię tę nosiły Hinduski od niepamiętnych czasów, a początek swój bierze zapewne od szali i długich welonów, w które owijały się prababki dzisiejszych cór Indyj. Za czasów panowania wielkich Mogołów na półwyspie od 11-go do 17-go stulecia, narodowa suknia niewieścia doszła do fantastycznego bogactwa, zwłaszcza przy dworach cesarskich. Hinduski wysoko urodzone nosiły wówczas sari ze słynnego Decca-muślinu, który był tak cienki, że opływał dokoła postaci niewieściej, jak „obłok mgły", a przyrównywany był przez poetów do „utkanego powietrza", do „przeźroczystego, kryształowego wodospadu źródlanej wody"! Znany był fakt, że gdy jeden z wielkich Mogołów, król Shach Jehadżir czynił jednej ze swych cór wymówki, że chodzi w biały dzień — prawie naga, odrzec miała ze skromną minką, że pani-matka nie daje jej więcej Decca muślinu na sari jak tyle, że może go złożyć t y l k o siedmiokrotnie!

Dziś delikatny ten, jak pajęczynka muślin wyszedł już prawie z obiegu, wobec spontanicznego rozrostu przemysłu jedwabniczego i bawełnianego, ale wyrafinowane elegantki mogą go sobie zawsze kazać utkać na uroczystość ślubną. Nawet wielkie précieus'y hinduskie, które noszą już suknie wieczorowe od Wortha, czy Paquin, nawierzch wkładają sari z szyfonów albo muślinu wyrobu krajowego.

Hanna Skarbek-Peretiatkowicz.

Dokończenie ze str. 28-ej.

usposobić, macie tyle cennych zalet, że choć jestem tu niespełna rok dopiero, wydaje mi się, że mieszkam tu już lata i wcale nie chcę myśleć o tem, abym była zmuszona stąd kiedyś wyjeżdżać. Kraj wasz ma tyle uroczych zakątków! Właśnie wracam ze wsi. Byłam w Podhorcach, przecudnej majętności ks. Sanguszki. Jestem jeszcze wciąż pod wrażeniem tego, com widziała...

A oto i mały spacerek samochodem, na który zaprasza pani Arbitre. Sama prowadzi swój wspaniały wóz świeżo sprowadzony z Paryża. Jest to „rasowy" Renault typu „Viva Grand Sport" w ślicznym odcieniu „vert ondé". Tuż w samochodzie — cała rodzina pani pułkownikowej: mąż — płk. André Arbitre, córeczka — Poucy i... ulubiony piesek, rasowy „scotch-terrier". Jedziemy na lotnisko. Tu już czeka awjonetka — elegancki „Caudron" typu „Simoun". Na takim samym słynna Maryse Bastié przeleciała Atlantyk. Wewnątrz jest obity czerwoną skórą, nazewnątrz pokryty srebrzystym połyskiem. Już wkrótce polecą nią pp. pułkownikostwo do Budapesztu... na spacer. A na co czekają? Pani pułkownikowa nie skompletowała jeszcze swej garderoby, a sprawia ją sobie... w Warszawie. Uważa, że skoro mieszka w Warszawie, powinna również i tu się ubierać. Wystarczy niezrównany gust pani Arbitre, która sama rysuje wszystkie modele i je stwarza... Oto przykład, godny naśladowania.

H. L.

Dokończenie ze str. 29-ej.

miast bransoletki wiąże się na przegubie dłoni taką samą aksamitkę z różami, których pęk zdobi również zamszowy wieczorowy woreczek. Uroczą ozdobą włosów jest również jaskółka z piórek, o rozpiętych do lotu skrzydłach; wtedy podobną nosi się przypiętą na ramieniu zamiast kwiatów.

Dla młodszych panienek wykończa się stylowe suknie z tiulu czy organdy girlandą drobnych kwiatów upiętą wzdłuż wycięcia sukni i podobną girlandą zdobi się włosy.

Widzimy więc, że pojęcie nowoczesnego kapelusza jest bardzo rozciągliwe: może być on zarówno prawdziwem „nakryciem głowy", solidnem i praktycznem, jak fantazyjnym „pocmacikiem" z tiulu, kwiatów, ptaków czy koronki. Wybór jego typu zależy od pory dnia, od charakteru stroju, a przedewszystkiem od wieku i typu urody danej kobiety.

Lady Like.

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Pollatschek Stefan „Płomienie" (Wyd. „Myśl" we Lwowie). Jest to utwór osnuty na tle życia znanego malarza pochodzenia holenderskiego, van Gogha, który należał wraz z Gauginem, Cezanne'em Monetem, Renoirem, Degasem do nowatorów na gruncie Paryża.

Van Gogh początkowo nie mógł się zdecydować na wybór zawodu: chciał być pastorem, jak jego ojciec, potem próbował szczęścia jako kupiec, sprzedawca obrazów... nieustanne przerzucanie się z jednego nastroju w drugi — musiało sprawić na niejednym wrażenie anormalności. Przyjaźń z Gauguinem, zakończona niesłychanym wyskokiem podrażnionego van Gogha (który w przypływie oburzenia obciął sobie jedno ucho) może być przykładem krańcowości w usposobieniu holenderskiego malarza.

Niezrozumienie, z jakiem spotykał się ze strony publiczności, potęgowało jeszcze wewnętrzne rozbicie. Van Gogh nie liczył się jednak z opinją pseudoznawców, tworzył wedle własnego widzimi-się, wedle własnych koncepcyj artystycznych.

„Wieczność świecąca" Bogdan Grzymała-Kamodziński. (F. Hoesick). Ten debjut autora, którego znaliśmy z wierszy, drukowanych po czasopismach, pozwala zorjentować się we wpływach, jakim ulega, a zarazem poznać bliżej wyłaniające się z tych związków i pokrewieństw oblicze poety.

Patronuje zbiorkowi Tuwim. Wystarczy przeczytać dwie linijki ze „Swodoby", aby się o tem przekonać: „Tętentem buchnij, wodospadem, Skrzydłami bij w niebieskie święto"... Gdzieindziej też odzywa się sugestja słowa autora „Słów we krwi".

Mimo wszystko podbija czytelnika tego tomu młodzieńczy rozmach słowa, wcale obfity zasób obrazów poetyckich.

M. Treter. Nieznany cykl Artura Grottgera „WARSZAWA II". Książnica-Atlas. Nieznane zupełnie w Polsce dzieło Artura Grottgera „Warszawa II", za którem śp. J. Bołoz Antoniewicz najskrupulatniejsze czynił poszukiwania, zostało z wiosną r. 1925 odnalezione w Victoria and Albert Museum w Londynie przez H. E. Kennedy i Zofję Umińską. Wykonany przez artystę w Wiedniu w roku 1862, znalazł się cykl ten wkrótce po ukończeniu na światowej wystawie londyńskiej, poczem przechowywany był w zbiorach prywatnych. W r. 1878 George Mitchell przekazał go wspomnianemu muzeum testamentem na własność.

Składa się nań siedem plansz, a mianowicie: I. Lud na cmentarzu. II. Plac Zygmunta. III. Chłop i szlachta. IV. Wdowa. V. Zamknięcie kościołów. VI. Więzienie księdza. VII. Sybir. Cztery z tych plansz opracowane są na całkowicie nowych motywach; trzy pozostałe, jakkolwiek o wątku identycznym, przekomponował artysta gruntownie, wznosząc się w nich na znacznie wyższy stopień artystycznej doskonałości.

Pierwsze polskie wydanie tego cyklu prezentuje się pod każdym względem bez zarzutu. Mieczysław Treter poprzedził tekę krótkim, ale treściwym wstępem, ujmującym wszystkie zasadnicze zagadnienia, tak historyczne, jak i artystyczne, wiążące się z niniejszym cyklem.

„Droga do Izabeli" Frank Thiess (Wyd. St. Dippla). Powieść niemieckiego autora opiera się na dość złożonym konflikcie: bohater utworu, narodowości niemieckiej (z zawodu hodowca kwiatów), tuż przed wojną pokochał młodą Francuzkę, Irenę. Ojciec jej nawet słyszeć nie chce o tem małżeństwie. Wielka wojna rozdzieli ich na zawsze: Irena umiera, pozostaje ich dziecko, które zacięty ojciec Ireny oddaje jakiemuś ogrodnikowi, wyposażając je fianansowo. Po wojnie napróżno szuka bezimienny bohater „Drogi" swojego dziecka.

Pomaga mu w tem adwokat Beauchamps: widząc jego rozterkę wewnętrzną, podsuwa mu niejaką Izabelę. Izabela zastąpi w sercu nieszczęśliwego ojca zmarłą Irenę. Początkowo będzie podmiotem jego ojcowskich uczuć. Jednakowoż kiedy adwokat Beauchamps przyzna się do podstępu (popełnionego z pobudek bardzo ludzkich) — Izabela zastąpi naprawdę zmarłą Irenę...

NOWY GMACH POLSKIEGO RADJA STANIE W WARSZAWIE.

Plan inwestycyjny Polskiego Radja przewiduje nie tylko wzmocnienie większości stacyj regjonalnych, ale również budowę specjalnych gmachów, przystosowanych do celów radjowych. Ostatnio zatwierdzono plan budowy nowego wielkiego gmachu Polskiego Radja w Warszawie. Nowy ten gmach wznosić się będzie przy zbiegu ulicy Puławskiej i projektowanej ulicy Batorego w nowej dzielnicy Marszałka Piłsudskiego w pobliżu placu Unji Lubelskiej. Gmach ten zbudowany zostanie według projektu prof. Pniewskiego. Najwyższą częścią tej monumentalnej budowli będzie 22-piętrowa wieża, w której znajdą się biura telewizyjne, pomieszczenia dyrekcji itd. W nowym gmachu przewidziane są 24 studja. Powstanie też wielka sala koncertowa mogąca pomieścić 120 osób orkiestry symfonicznej, 100 osób chóru i 500 osób publiczności.

NA SCENIE.

WARSZAWA. W Teatrze Narodowym ujrzeliśmy głośną w swoim czasie komedję de Flersa i Caillaveta pt. **„Zielony frak"** w świetnem wykonaniu Ćwiklińskiej, Stanisławskiego, Leszczyńskiego, Fritschego, Żeliskiej i T. Frenkla. Dekoracje projektował Pronaszko.

LWÓW. W Teatrze Wielkim wystawiono sztukę amerykańskiego autora S. Kingsley'a pt. **„Ludzie w bieli"**. W roli głównej wystąpił p. Warnecki, zarazem reżyser widowiska. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Górską, Bielicką, Machalskiego, Chaniecką, Draczewską, Barykę, Borowskiego, Staszewskiego i Więckowskiego. Dekoracje opracował p. M. Różański.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 17 lipca.

12.03 Poranek muzyczny.
16.30 Komedja A. Fredry „Pierwsza lepsza".
17.00 Recital wiolonczelowy Dezyderjusza Danczowskiego.
18.00 „Dwa serca w rytmie walca", operetka Stolza.
21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 „W letni wieczór" — koncert rozrywkowy.

Poniedziałek, 18 lipca.

16.00 Koncert rozrywkowy, w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej z Gdyni.
18.10 Koncert solistów.
19.30 Rodzina Straussów — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny z Budapesztu.

Wtorek, 19 lipca.

16.00 Drobne utwory i pieśni Edwarda Griega.
18.10 Koncert symfoniczny z Krzemieńca. Transmisja z Muzycznego Ogniska Wakacyjnego.
21.10 „Vivat semper wolny stan", lekka aud. muzyczno-słowna.
22.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Rozgł. Wileńskiej.

Środa, 20 lipca.

16.45 „Żagiel a silnik na okrętach szkolnych" — odczyt.
18.00 „Ogrody wieku oświecenia", feljeton.
18.10 Recital śpiew. Anieli Szlemińskiej.
18.45 „Młodzieniec z piórem bocianiem" — baśń chińska.
21.10 „Chopin a polska ziemia" — IV aud. — „Mazurek zdobywa świat".
22.00 Muzyka symfoniczna Schuberta (z płyt).

Czwartek, 21 lipca.

16.00 Koncert solistów.
18.10 Arje i pieśni w wyk. Alberta Felińskiego.
18.30 „Powrót" — St. Balickiego, premjera słuchowiska.
19.45 Aud. Konkursowa Polskiego Radja.
21.10 Skrzypce i mandoliny — koncert rozrywkowy.
22.00 Konc. kameralny z Krakowa.

Piątek, 22 lipca.

16.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Lwowskiej.
18.10 Utwory fortepianowe w wyk. Arno Heintzego z Łodzi.
19.00 Pieśni polskie w wyk. zespołu żeńskiego „Pro Arte".
21.10 „Te brzóz kilka, ten bieg wody" — audycja słowno-muzyczna z cyklu „Dawne piosenki" (z Poznania).
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Pavele (IV aud.).

Sobota, 23 lipca.

19.00 Recital klarnetowy Józefa Madei.
19.30 Ludowe melodje Wileńszczyzny" (z Wilna).
21.10 Kapela Lud. Feliksa Dzierżanowskiego.
21.40 Transm. I meczu pływackiego „Polska—Finlandja".
22.10 „Godzina niespodzianek".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.